

1891. 10. 10. 10. 10.



Hieronim i Jan Tharaű



Jan Tharaű 1923

RÓZA  
SARONU



Egz. archiwalny IBL







Egz. archiwalny IBL

HIERONIM I JAN THARAUD

# RÓŻA SARONU

POWIEŚĆ

TEUMACZYŁ Z FRANCUSKIEGO

*M. PYTOWSKI*

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA — 1928

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“





22.509

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE



*NASZEMU PRZYJACIELOWI*

*PETEROWI UJRAZI*  
*KTÓRY ŻYŁ ŻYCIEM JESZYBOTU*

*H. J. T.*



## ROZDZIAŁ I.

Urodziłem się. Stało się, oto jestem żydem i niewątpliwie żydem dnia świątecznego, ponieważ Bóg nakazuje naszym ojcom i matkom rozplądnić się w sobotę. Najpiękniejsza nadzieja jest dla mnie dostępna! Bo czemuż nie ja? Czemu nie ja? Każdy noworodek u Izraela przynosi ze sobą możliwość urzeczywistnienia wielkiego snu, wielkiego marzenia stania się Mesjaszem. W ten oto sposób narodzi się On pewnego dnia, czy tu czy tam, niewiadomo; może jak ja wgłębi szynku w Karpatach, między beczką wódki a sakwą modlitewną. Dotychczas, przyznać trzeba, ta nadzieja często bywała płonna, a jednak z tej fantastycznej ambicji zostaje nam zawsze coś...

Mówi się u nas o Wiekuistym (i tak bardzo to lubię), że ma rosę dokoła swego czoła. Szczęśliwy Wiekuisty! wiecznie skąpany w świeżości poranku! W szynku w Karpatach, nawet przyszły Mesjasz ma tylko muchy na swoim czole.

Muchy, huk potoku, zapach wędzonego śledzia, skrzypce cygana rozczulającego do łez pijanego przewoźnika z brzegów Tizy, szczekanie brudnych psów i nucenie modlitw; moje dzieciństwo jest jakoby osłonięte głębią tego wszystkiego, a z tych głębin jakoby pałac Salomona wynurza się błyszczący, cyną obity bufet z wieżą, na której znajdowały się flaszki, szklanki i zakąski.

Nic w życiu mnie tak nie oczarowało. Trzeba było, ażebym z pierwszego wejrzenia poznał piękno doskonałe! Obok tych wspaniałości, później wszystko wydawało mi się blade i jeszcze teraz, rzadko zdarza mi się patrzeć na piękną rzecz, aby natychmiast nie zjawiała się w mej myśli ta wieża wspaniała, gdzie muchy zbierały się tysiącami i którą matka moja czyściła i oczyszczała co piątek.

W kącie, na lewo od tego pałacu wspaniałego, stała ogromna świeca czerwono-biało-zielona, na wzór barw narodowych Węgiei. Na prawo, zawieszona była stara aksamitna sakwa, a w niej tałes i paski rytualne dla przejeżdżających Żydów, którzy chcą odprawić tu swoją modlitwę. Na murze, przepisy dotyczące się alkoholu i utrzymania szynków, i wielki, dzikiemi barwami namazany obraz, który mnie zadziwił wówczas i zadziwia jeszcze

więcej dzisiaj, gdy o nim myślę. Obraz przedstawiał bitwę (nigdy nie wiedziałem jaką), stoczoną w Śądny Dzień przez Napoleona I-go. Przed grenadjerami francuskimi przybranymi w czapki futrzane i trzymającymi broń na ramieniu, widziało się — zjawisko dziwaczne — żołnierzy żydowskich, którzy przed rzuceniem się w bitwę, zwracali się do Wszechmogącego. Na czako narzucone tałesy, szale czarno białe, w które owijamy się podczas modlitwy; na czołach pudełka czworokątne zawierające niektóre wersety z Prawa; na lewym ramieniu nawinięte święte rzemienie skórzane i Cesarz spoglądający na swoich wojowników z podziwem i rozczuleniem.

Zapach wędzonego śledzia stał się własnością tego domu przez cały rok, jak belki dachu, beczka, bufet i Imperator Napoleon. Muchy brały dom w posiadanie tylko latem, ażeby z początkiem jesieni ustąpić miejsca tym grudkom śniegu, które przybywały by przylepić się do szyb. Melodje cygańskie rozbrzmiewały przeważnie wiosną, gdy chłopci słowaccy spławiali wdół rzeki niezliczoną ilość tratw. Och, te melodje jęczące, które mnie usypiały w sąsiednim pokoju, ileż razy one również wracały mi echem w pamięci! W ponurych pokojach hotelu, gdzie przeistoczyłem się,

gdzie stałem się tym drugim absurdem, człowiekiem Zachodu, ileż razy zdawało mi się, że je słyszę! Nie wiedzieć skąd, w cichej pustce tych pokojów, wracały do mnie melodie dalekie. Litery wieszały się przed memi oczyma, książka z rąk wypadała. Mówiłem sobie: „Naco ten śmieszny wysiłek by zrozumieć? POCO tyle bólu sobie zadawać by się kształcić i zostać w niewiedzy, skoro tam, w miejscowościach zapadłych, zjadacze padliny i mięsa zgniłego wynaleźli tak głębokie jęczenie i swemi skrzypcami czterogroszowemi wznoszą się ponad myśli nasze?”.

Zabawy moje? Czyż ja się kiedykolwiek bawiłem? Z chwilą, gdy doszedłem do wieku zabawy, włożono mi do rąk najstarszą z zabawek: Pięcioksiąg Mojżesza. Od siódmej rano do siódmej wieczór pod pałką mistrza chederu, bąkałem Torę albo Gemarę i nauczałem się nucić według rytmu wiecznego. Dnie monotonne, echo głębokie i nagie, powtarzające się z wieku na wiek!... Przypominam sobie jednak chwile, podczas których powinienem był się bawić. Czemuż jednak nie jestem tego pewien? Było to wieczorem, w synagodze zapełnionej o tej porze wszystkimi wypoczywającymi miasteczka. Wydostawszy się z chederu, urządzaliśmy z towarzyszami gonitwę mię-

dzy świecami umieszczonemi na pulpitych, między wszystkiemi chałatami będącemi w rozmowie z Wiekuistym, co nas kosztowało zdrowych kilka kopnięć butem, ale kopnięcie nabożnego żyda jeszcze nikomu nigdy nic złego nie zrobiło... Przypominam sobie również kałużę. W miasteczku znajdowała się kałuża, a ta kałuża była morzem Czerwonem, i naszą wielką rozrywką było zabawiać się w Hebrajczyków i Egipcjan. Jedni musieli skakać z kamienia na kamień, nie zmoczywszy się, ci byli Hebrajczykami; drudzy musieli ich łapać, brodząc w kałuży, ci znów byli Egipcjanami. Wreszcie, po przybyciu na drugi brzeg kałuży, zanuciliśmy wszyscy razem pieśń Debory. Pewnego razu, wróciłem do domu zabłocony aż do czapki. Ojciec mój przyjął mnie policzkiem:

— Ech! mówię mu, niema w Biblii, że chłostano Hebrajczyków, gdy przebyli morze!

Ale ojciec mój, znając tę grę, bo i on również w młodości swej często ją urządzał, odpowiedział mi:

— Głupcze! nie trzeba było być Egipcjaninem!

Byłem złośnikiem, kłótnikiem i donosicielem, byliśmy wszyscy tacy.

Jednakże bywało, że wciągu pięciu minut nie było we mnie nic z tego wszystkiego, nie



byłem niczem innym, tylko podziwem, przerażeniem. Co wieczór po powrocie z chederu, matka moja wprowadzała mnie do małego jak komórka pokoiku, mieszczącego się za szynkiem i do którego światło wpadało przez okno okratowane, wychodzące na Karpaty. Poprzez te kraty, góry wyglądały jak uwięzione. Tu oto żył wuj Zalme, starszy brat ojca mego, jeden z tych zapaleńców lektury świętej, jakich tylu u nas jest. Od nie wiem już ilu lat, spędzał swe dni w tej klatce, za temi kratami. Latem, dym jego fajki uchodził, by łączyć się z wielkimi chmurami, które przechadzały się po Karpatach; zimą, zbierał się w pokoju od rana do wieczora, stwarzając atmosferę nie do oddychania. Matka moja podawała mu tu jego jedzenie i przynosiła mu od czasu do czasu, szklanekę wódki, by pokrzepić go do medytacji. Spostrzegłem się później, że był wielkim nieukiem, spędzającym swój czas na żzywaniu tabaki, paleniu i drzemaniu, lecz za mego dzieciństwa podzielałem naturalnie iluzje moich bliskich i miałem dla tego nabożnego próżniaka uczucie, którego prawie wcale w życiu nie doznawałem, albowiem szacunek nie jest cnotą ani Judy ani Lewego. Kiedy mnie matka wprowadzała do zakopconego pokoju, byłem opanowany

szacunkiem pobożnym, zbliżonym raczej do strachu niż do tkliwości. W tej komórce znalazłem się nagle przed światem, do którego miałem wkrótce wejść, gdzie tyle lat mego życia spędziłem na utrzymaniu się w równowadze i dokąd niekiedy, jak tego wieczoru, wracam myślą z zachwytem i odrazą. Stałem przed wszechświatem zamkniętym dla wszystkich umysłów świata, i do którego klucz jedynie żyd posiada: przed chaosem problemów nagromadzonych jedne na drugich, jak góry na górach, jak chmury na chmurach. Najczęściej, otoczony dymem wuj Zalme, nawet na mnie wzroku nie podnosił. Matka moja, bojaźliwa, jedną rękę opierając o moje ramię, mocno się strzegła, by nie zakłócić milczenia. Kiedy pięć minut upływało, dawała mi znak oczyma. Znak ręką, niewątpliwie wydawał się jej zbyt zakłócać tę atmosferę nabożnych myśli. Zbliżałem się o krok, całowałem rękaw wuja Zalmego i opuszczaliśmy ten Synaj...

Zdawało się jednak, że niekiedy podnosił na mnie wzrok. Wtedy patrzył na mnie z tak silną uwagą, że czułem jak topnieje mi drżąca ręka w dłoni mojej matki i chciałbym stać się muchą albo dymem, by ulotnić się przez kraty. Lecz czyż to ja byłem, na którego patrzył,

ja, jego bratanek Jakób Lipszyc? Czyż nie była to raczej ta istota oderwana, bez nazwy, która do niego tak samo mało należała jak do reszty Izraela, dziecko żydowskie pomiędzy dziećmi żydowskimi w trakcie nauki czytania, to znaczy kucia modlitw? Albo raczej prościej, małe kieliszki wódki, przyniesione wciągu dnia przez matkę moją, czyż to nie one mąciły mu wzrok?... Innym znów razem, kazał mi recytować wersety z Prawa, albo komentarze z Talmudu, których nauczyłem się był w chederze. Przy najmniejszym wahaniu, otrzymywałem dwa lub trzy uderzenia przez palce lub w głowę, żwawo przyłożone cybuchem długiej fajki słowackiej, którą władał jak pałką. Niemniej dobrze władał również straszliwym paskiem rzemiennym, którego widocznie Władca Świata dał swoim żydom, ażeby im pomagać w nabijaniu Prawem mózgu dziecka. Dawno już Reb Eliezar powiedział:

„Ojcem bezrozumnym jest ten, kto nie bije swego syna“. Te słowa z biegiem czasu nie zginęły bez śladu. Ileż razy doświadczałem ich prawdy na sobie! Mogę jednak powiedzieć, że nigdy nie zachowałem urazy do wuja Zalmego za uderzenia które mi dawał. Dziecko żydowskie uważa bicie

za coś równie naturalnego, jak uczenie się. To jest jedno i to samo. Jakkolwiek moja wiedza była jeszcze ograniczona, wiedziałem już dobrze, że razy rzemienia i uderzenia cybuchem fajki przybyły z głębi czasów, z głębi nieba, od samego Jehowy. Jak nie uznać tej miłości, niestety gniewliwej, którą Bóg żywi dla swego narodu; tej czułości, która sprawia, że od czasów Abrahama i Jakóba plagi bezustannie spadają na nasze plecy? Jeszcze dzisiaj, codziennie, Pan Świata (błogosławiony niech będzie!) wpada w paroksyzm gniewu przeciwko grzechom swoich Żydów. To trwa zaledwie mgnienie błyskawicy, dokładnie jedną pięćdziesięciośmioletnią sto osiemdziesiątą ósmą część sekundy i każdemu wiadomo, że w tym momencie grzebień koguta bieje! Lecz Wiekuisty daje upust gniewowi o trzeciej nad ranem i żadne dziecko nie może zobaczyć tego zjawiska... Co zaś do wuja Zalmego, gniew jego trwał niestety dłużej...

Pewnego dnia, miałem wtedy dziewięć albo dziesięć lat, zabrał mnie wuj do miasteczka (oddalonego o kilka mil. To przysporzyło mi wiele dumy. Mam nadzieję, że i wyście zaznali w waszym życiu wiele szczęścia, lecz nigdy, pewnego ranka letniego, nie znaleźliście się na dro-

dze, w towarzystwie wuja Zalmego i w nowych butach. Niestety spostrzegłem się wkrótce, że stare rzeczy mają dużo dobrego w sobie, a przede wszystkim stare buty. Byłem mało przyzwyczajony do długiego chodzenia, to też dokuczały mi moje buty. Zdjąć ich nie mogłem, bo czyż widziano kiedy Żyda o gołych nogach? Boso nie zrobiłbym dwóch kroków. Na szczęście, spotkaaliśmy Słowaka, który nas zabrał na swoim wózku i przebyliśmy z nim spory kawał drogi. Upał był nieznośny. W południe zatrzymaliśmy się obok jakiejś kałuży, gdzie było jeszcze trochę stęchłej wody. Słowak wyprzęgnął swego konia, by go zaprowadzić do wodopoju i cisnął uprząż, całą białą od potu zwierzęcia, na stopnie krzyża, który wspinał się w tem miejscu. To wszystko może wam się wydawać proste, lecz w oczach wuja Zalmego, to było czemś strasznem! Pot jest dla nas Żydów czemś szczególnie nieczystem. Czyżby to miało być przyczyną, dla której tak starannie unikamy ciężkiej pracy? Człowiek który wzgardził swoim bogiem, plamiąc jego wizerunek potem zwierzęcia, mógł być tylko nikczemnikiem od którego należało się oddalić. Nigdy nie zapomnę w jaki sposób wuj Zalme schwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą, nie troszcząc się

o jęki, spowodowane bólem moich nóg skałeczonych. Wieczorem mówił do mojej matki: „Wpadliśmy na chrześcijanina, jakiego nigdy jeszcze nie spotkałem!“. Istotnie, niedługo po tym wypadku, dowiedzieliśmy się, że ten Słowak okradł swego sąsiada, a potem się powiesił. Więcej niż kiedykolwiek, wuj Zalme wydawał mi się osobistością nadzwyczajną, która czyta w sercach, i drżałem bezustannie, by i w mojem nie odkrył strasznych rzeczy, których nie znałem.

Mając dwanaście lat, byłem cudem, to znaczy dźwigałem w głowie pół Gemary: znałem na pamięć Proroków, a gdy otworzono Torę, można było tam wyszukać ustęp przypadkowy, przeczytać mi pierwsze słowa, a ja kontynuowałem z miejsca. Umialem również na pamięć Raszę. Stawiałem mojemu staremu mistrzowi chederu pytania talmudyczne, które wydawały mu się zuchwalstwem, ponieważ zapomniał (jeżeli je kiedykolwiek umiał) odpowiedzi, jakie dają nasi uczeni. Odpowiadał mi bez żadnego wyjaśnienia: „Wielbłąd chcąc rogów, stracił uszy“ i wyciągał mi moje.

Mało zadowolony z tej odpowiedzi, ośmieliłem się pewnego ranka egzaminować wuja Zalmeo. Uchowaj mnie Boże od zamiaru oczerniania

wuja! Zresztą, sen i tytuł dane nam są również przez Boga samego, dlaczegóż więc za kratami swojej klatki, wuj Zalme, zamiast psuć sobie oczy czytaniem, nie miałby spać albo myśleć o nie wiem czym, wciągając kłęby dymu z cybucha swojej fajki, która tyle razy była przyczyną mego płaczu?... Spostrzegalem jednak, że jego wiedza podobnie jak wielbłąd mełameda, nie miała ani rogów, ani uszu. „Jakóbie, mówił mi z powagą, życie jest krótkie do uczenia się, cóż dopiero, by nauczać innych? Milczenie, powiada Reb Akiba, jest Szańcem mądrości. Później podyskutujemy razem“. Zaraz nazajutrz, zdecydował (w podobnej sprawie tylko on mógł decydować), że opuszczę dom, by kontynuować studia w jednej z tych małych uczelni żydowskich, zwanych jeszybotami.

My jesteśmy niewdzięczni, my Żydzi. Niewdzięczni, jak ludzie namiętni. Opuszczałem wszystko bez żalu, muchy, potok, beczkę wódki, nawet godny czasów Salomona bufet błyszczący starego mełameda, który nabił mi mózg rzeczami, będącemi moją pychą, ojca mego, którym gardziłem trochę, ponieważ poza sobotą nie widziano go nigdy czytającego, pasek wuja Zalmego i jego samego, który mi tyle nie imponował, ponieważ nie wątpiłem, że wkrótce go przerosną wiedzą,

i moją matkę, nawet ją, którą przecież bardzo kochałem. Co zaś do moich małych towarzyszy, oni nie istnieli więcej dla mnie. Oni mieli zostać szynkarzami, jak mój ojciec, krawcami, albo ludźmi równie mało znaczącymi, którzy zapełniali bóżnicę modlitwą nieuków. Ale ja! Ja miałem zostać bocherem, uczniem jeszybotu! Ach nie, wcale nie przez przypadek Zohar przedstawia Wiekuistego, rozcinającego wszechświat w litery alfabetu hebrajskiego, i udzielającego każdej z niej cząstkę swej mocy! Siła rzeczy pisanych wywiera na nas urok, jak na nikogo z żyjących na świecie. W naszej religji ważna jest nie wiara, lecz wiedza. Niema u nas dogmatów, są tylko przepisy i przykazania. To co Mojżesz przyniósł ze sobą z Synaj, nie jest żadnym misterjum, żadną zagadką mistyczną. To co on przyniósł, to wóz wybiegów dla uszczęśliwienia tych sędziów, adwokatów i krętaczy, których nazywamy rabinami. Po tylu innych, i ja również miałem się zanurzyć w ten wóz wybiegów, miałem wiedzieć, nauczać się, miałem zostać rabinem!

Z dwoma florenami w kieszeni i z listem od wuja dla rabina z Szuranu, udałem się pewnego rana w drogę. Trzeba mieć za swojemi plecami trzy tysiące lat życia żydowskiego, aby



krocząc drogą, rzucać ptakom niebieskim i kwiatom przydrożnym jako pieśń do marszu, Banidbar i Dwarim\*. Ptaki i kwiaty nie zajmowały mnie wcale i nie oglądając się, kroczyłem naprzód, badając sam siebie, jak niewątpliwie zrobił to w tej samej chwili rabin, zastanawiając się nad wymiarami świątyni Jerozolimy i nad regułami jakie przestrzegano dla każdego rodzaju ofiary, za czasów, kiedy jeszcze świątynia istniała.

Po dwóch dniach drogi, jużto pieszo, jużto na wózkach napotkanych, przybyłem do celu podróży. Kiedy znacznie, znacznie później, akurat pięć lat później (lecz w tym wieku mego życia lata liczyły się podwójnie, tyle nowych rzeczy i nowych myśli nabrzmiewiało dla mnie w każdej chwili), znalazłem się pięknego poranka na bruku paryskim, sam w tym chaosie ulic, nie czułem się więcej zagubionym, niż w tej jedynej ulicy Szuranu. To było miasteczko położone w równinie, a równin nigdy jeszcze nie widziałem. Z każdej strony drogi, za akacjami zakurzonymi (było to latem) ciągnęły się wzdłuż jednego kilometra płoty drewniane o wielkich bramach, otwartych lub zamkniętym od strony podwórka.

---

\*) 4-a i 5-a Księga Mojżesza.

Za temi płotami, małe domki węgierskie, całowicie białe pod strzechami słomianemi, następowały kolejno po sobie, jeden za drugim, prostopadłe do drogi. Psy szczekały w podwórzach, a ja byłem czemś tak małym na tej długiej, zakurzonej drodze, która miała mnie poprowadzić ku wiedzy.

Gdzie była ta wiedza, gdzie były domy żydowskie pomiędzy temi domami białymi, poza temi płotami, gdzie słyszałem szczekanie psów?... Tam gdzie są psy, tam niema Żydów. Bóg tak chciał. Lecz Bóg również rozsiał znaki po ziemi, by jego dzieci ukochane mogły się odnaleźć i rozpoznać. On nam dał nosy, ubiory szczególne, sposób chodzenia, tysiące rzeczy nam właściwych, które można lubić, albo nie lubić, ale które mają swoje zalety. Domom naszym również dał znaki, mezuę błogosławioną, małą rurkę blachy, pełną zdań z Prawa, która już przy drzwiach wam oznajmia, że znajdziecie tu stare obyczaje, potrawy przyprawione według rytuału i drogie błogosławieństwa. Lecz przede wszystkim Wszechmocny rozsiał po naszych domach coś, co nam jest podobne, coś zarazem smutnego i wesołego, czystego i brudnego, to co powoduje, że znajdując się między dwoma domami jednakowemi, mó-

wicie natychmiast: „Tu mieszka Żyd, a tu Węgier“.

Nie omyliłem się. Wiekuisty poprowadził mnie za rękę. W uliczkę, w którą skręciłem, na prawo od drogi, wszystko było żydowskie, wszystko mówiło po żydowsku, wszystko oddychało drogim, znanym zapachem, wszystko było obietnicą świętości i szczęścia. Dwa słowa o magicznym uroku sprawiły cud, wyгнаły osamotnienie, uczyniły naraz ze mnie osobistość i zgromadziły dookoła mojej osoby dzieci (ku chwale Pana), chałaty, kapelusze okrągłe, a wszystko to popychając się, prowadziło mnie. Przybyłem, żeby się uczyć u rabina! Słyszac to, dobre kobiety w perukach witały mnie na progach przyjaznym „Szalom Alejchem“ (pokój niech będzie z Wami), ponieważ należy przyjmować radośnie chłopca, który przybywa zdaleka, by przysporzyć sławy Izraelowi, studjując Torę. A nowoprzybyły, nieprawdaż, to niewielka rzecz, ani fortuna, ni skarb, lecz trzeba, ażeby gdzieśkolwiek spał. Większość z tych domów żydowskich gości bocherów i kilkoma kreuzerami tygodniowo nie należy pogardzać.

Nie zrobiłem jeszcze stu metrów, a już większość kumoszek kłóciła się o honor ugoszczenia mnie. Cały ten rozgardjasz zwrócił mi pewność,

którą zachwiały pierwsze wrażenia z miasteczka i szczekanie psów.

Targany ze wszystkich stron, byłem popychany w kierunku jakiegoś placu, albo raczej skrzyżowania dwóch dróg, o głęboko wrytych śladach kół, ciągnących się ku polom. Plac ten był śmiesznie mały, a wydawał się pustynią. Olbrzymia akacja zatrzymywała na swych liściach kurz lata i swojemi zmęczonemi gałęzmi zamiatała niski domek o dachu z czerwonych cegieł, prawdziwy zbytek w tym kraju, gdzie domy były tylko słomą pokryte. Akację widziałem dopiero później. Czyż wogóle ją oglądałem podczas mego pobytu w Szuranie? Zdaje mi się, że dopiero teraz, mówiąc o niej, widzę ją taką, jaką była, to drzewo okurzone, zagubione w głębi mej młodości.

Krzyki moich przewodników, sprowadziły na próg czerwonego domku jakiegoś niezwykle wysokiego młodzieńca; broda czerwona, oczy czerwone, cały jakby tylko z nóg i ramion stworzony; naraz dwadzieścia ust krzykiem zwróciło się do niego: „Małpie Ramiona! Małpie Ramiona! Ten oto przybywa, by zostać bocherem!“.

Najprawdopodobniej Adonaj dał temu młodzieńcowi długie ramiona, by mógł na odległość dzielić policzki. W jednej chwili opustoszało około

niego. To był jeden z tych starych paplaczy Talmudu, którzy lata wegetują w jednym i tym samym jeszybocie, przy jednym rabinie, w charakterze sekretarza i tak zwanego nadbochera, by później stać się ozdobą bóżnicy jakiegoś miasteczka. Kazał mi wejść do domu, a podczas gdy on znikł w pokoju rabina, by uprzedzić go o mojem przybyciu, dzieci, którym jego ramiona już nie nakazywały szacunku, tłumnie znów mnie okrążyły i wyciągając ręce, żądały kreuzera. Co za wypadek nadzwyczajny! Mnie proszono o jałmużnę! mnie, Jakóba Lipszyca, który wczoraj jeszcze był tylko nieznanem dzieckiem Żyda z gór. Uniesiony pychą, miałem już popełnić szaleństwo i rzucić w te ręce wyciągnięte dwa floreny, które mi pozostały, gdy nagle, szczęściem dla mnie, Małpie Ramiona ukazał się, rozprasząc samą swoją obecnością hordeę dzieci i moją bezsensowną zachciankę.

Wkroczyłem za nim do pokoju rabina. Rabin był tu gdzieś, ale gdzie? Nie wiedziałem. Bez wątpienia za tym stołem, na nogi którego uporczywie patrzyły oczy moje opuszczone. Słyszałem jakiś głos bezsilny, który mówił do nadbochera (czyż rabin mógł na tyle zniżyć swoją godność, by zwrócić się bezpośrednio do mnie?)

— Zapytaj go się skąd przybywa, czyim jest synem, gdzie się uczył i czego się nauczył?

Z mojej sakwy modlitewnej wyciągnąłem list, w którym wuj Zalme polecił mnie rabinowi z Szuranu. Małpie Ramiona wziął list i czytał głośno:

„3-ci Sywan 5639, Reb Lipszyc, do pobożnego i uczonego, znanego we wszechświecie Reb Szapsy, Rabina jeszybotu w Szuranie. Oby Pan świata go błogosławił. Oby powiększył mu dnie i przedłużył jego lata i niech go wyzwoli i ocali od wszelakiego nieszczęścia i wszelakiego zła. Niech to dziecko, okaziciel niniejszego listu, stanie się kiedyś pociechą Izraela! On umi to co się umi w jego wieku. Niech mu uczony Rabin wybaczy jego nieuctwo. Życie jest krótkie, by nauczyć się tego, co każdy pobożny żyd powinien umić, a to dziecko weszło zaledwie w swój czternasty rok życia. Oby mogło naśladować kroki Hillela, który przybył z Babilonu, by wstąpić do szkoły Abtaljona i Szamajego!“

Niestety! Kto mógł się spodziewać, że niegodne dziecko żydowskie będzie pewnego dnia porównane do Hillela! Lecz wiedza i pobożność rabiego z Szuranu są godne Szamajego i Abtaljona.



Kończąc, wuj Zalme prosił, by Reb Szapse raczył rzucić przychylnie spojrzenie na to dziecko z pośród dzieci Izraela.

List widocznie podobał się rabinowi, bo ledwo nadbocher skończył czytać, rabin znów się odezwał, ale tym razem już zwracając się bezpośrednio do mnie:

— Mój chłopcze, powiedział, wnioskuję z tego listu, że Pan był ci przychylny, dając Ci rodziców znakomitych. Oby żyli do stu dwudziestu lat! Niestety, nie jestem Abtaljonem, lecz, obyś mógł w mojej szkole stać się Hillelem!

Następnie, zwracając się do Małpich Ramion, naznaczył według zwyczaju jednego ze swoich uczniów, aby kierował mną w trudnościach początków i pomagał mi w uczęszczaniu na jego lekcje, albowiem żelazo ostrzy żelazo, a drzewo zapala drzewo.

Poczem, uczułem, że jakieś ramię popycha mnie do rękawa rabina, który ucałowałem żarliwie. Następnie, tak jak się bierze wesz na chałacie, Małpie Ramiona wziął mnie za plecy, między gruby a wskazujący palec, i znalazłem się na podwórzu. Gdyby mnie wtedy był ktoś zapytał: „Jak wygląda rabin? Jaki jest kolor jego brody? Czy jest wysoki, czy niski?“, byłbym

w kłopotcie z odpowiedzią, gdyż nie spostrzegłem go nawet...

Za domem rabina, jeszybot tworzył rodzaj szopy przylegającej do muru, a której dach słomiany spadał pochyło, prawie na wysokość człowieka. Mógłbym go tylko do olbrzymiego kurnika porównać, w którym jakieś trzydzieści kur siedzi tu i ówdzie za stołami i dziobie Talmud. Mówię dziobie, ponieważ tylko do kur, które szukają ziarna na podwórzu, jesteśmy podobni, my bocherzy talmudyczni, z naszą starą manją kiwania bezustannie głową, podczas odczytywania tekstów świętych. Kakofonja, do której byłem przyzwyczajony oddawna w moim małym chederze wiejskim, rozbrzmiewała tak samo w tem sanktuarjum wiedzy hebrajskiej, gdzie każdy, podśpiewując na nutę będącą w zwyczaju, czytał odmienny tekst, nie troszcząc się o spokój sąsiada i nie będąc przez tegoż żenowanym. Moje wejście nie zmąciło tego koncertu rozstrojonego. Bezwątpienia, wszystkie oczy mnie widziały, lecz nowoprzybyły w moim wieku nie mógł być tym fenomenem, którego rozgłos bieży przed nim z jeszybotu w jeszybot. Nie należałem do tych ptaków błyszczących, które rzucają blask niezrównany na te gałęzie, na których chwilowo spoczęły.



Nie byłem „ichne“, wyróżnionym, co najwidoczniej odbijało się na mojej twarzy. Kilka chałatów zwróciło się w moją stronę, kilka głosów ucichło, następnie wszystko wróciło do normalnego biegu, jakgdyby żaden kamień nie wpadł do tej studni wiedzy.

Gdy wszedłem, wzrok mój zatrzymał się na jakimś zuchu, wysokim i zgarbionym, który ruchem twardym i podrygującym wściekał się nad lekturą, jak kuś nad robakiem i mówiłem sobie, patrząc na niego: „Oby to tylko nie był ten!“ To był właśnie ten! To był ten, którego Małpie Ramiona ujął swojemi strasznymi szczypcami (znaki ich już nosiłem na sobie), to był ten, którego oderwał od recytacji wściekłych, ażeby mu oznajmić, że rabin go naznaczył, by mną się zajął. Z wysokości swej długiej szyi, rzucił mi sierzyste spojrzenie i znów zaczął kiwać głową i ramionami, by nadrobić czas stracony. Patrzałem na jego długą i chudą rękę, prawdziwa kielnia murarza, jak siekał swą lekturę na kawałki, gdy wtem zatrzymał się nagle i zapytał się czy przypadkowo nie przywiozłem ze sobą trochę prowizji z podróży. Niestety, nie tym razem! Musiałem mu wyznać, że podczas mojej dwudniowej podróży, miałem tę słabość, iż zjadłem wątróbkę

gęsią, którą matka mi dała przed wyjazdem. Poczem znów się puścił w pościg za czasem straconym. Lecz po chwili, zwracając na mnie oczy obłąkane lekturą, rzucił mi wlot, jakby zdanie wtrącone do Talmudu.

— Wódki również nie?

Uczyliem głową znak, że „nie“ i tym razem już nic go nie oderwało od jego zawrotnych ruchów na miejscu.

Miałem żądzę sławy; sławy, której wybyście może nie zazdrościli, takiej, by zdumieć moją pamięcią i wyjątkowością umysłu grupę talmudystów, jaka się tu znajdowała. Przyjęcie politowania godne, jakie mi urządzono, i które nie odpowiadało wcale nadziei, jaką obudziły we mnie chwilę przedtem krzyki dzieci, upokorzyło mnie głęboko. Cienie zmroku, zalewające szopę, zmuszały do nachylania coraz bardziej głowy nad literami już nieczytelnymi i długie ziewania, których nikt nie myślał powstrzymywać, przerywały co chwilę, jak ryki zwierząt, monotonne podśpiewywanie. Miałem się wkrótce przekonać dzięki doświadczeniu, że ta godzina, która nas zbliżała do modlitwy wieczornej, była również godziną straszną, podczas której rozlegały się okrutne wołania żołądka źle odżywianego. Zastanawiałem się nad

tem jakby zrewanżować obojętność, jaką czułem dokoła siebie, i jakby ściągnąć uwagę wszystkich kilkoma świetnymi zwycięstwami, gdy niespodzianie, jak ognisko, które zaczyna trzaskać pod dmuchnięciem starej kobiety, wszystkie głosy, które zaczęły słabnąć, ożywiły się jednocześnie i podniosły o ton wyżej. Cichutko za mną, przez drzwi, które łączyły jego pokój z jeszybotem, rabin wszedł by odmówić modlitwę Mineha. Zdaleka, ja, mały chałat między innymi chałatami, ośmieliłem się nareszcie spojrzeć na niego. Bóg wie czy od dwóch tysięcy lat Izrael stworzył i stwarza jeszcze codziennie takie ciała i umysły, podobne do tego człowieka, którego miałem przed sobą! Ludzi, którzy od młodości do schyłku swej starości, nic innego nie zrobili, tylko rozumowali nad Prawem; ludzi, którzy umieją wszyscy to samo i nie chcą umieć nic innego! Czy wyobrażacie sobie człowieka, który zawiera w sobie całą wiedzę świata, jak dzban pełen wody, z którego ani jedna kropla się nie ulatnia? W moich oczach Reb Szapse był jednym z tych ludzi, jednym z tych dzbanów. Że jego twarz była kopą włosów, że widziano zaledwie oczy jego, że był mały, niekształtny i źle ubrany, słowem, że ten dzban nie był z porfiru, ani

z alabastru, to nie miało żadnego znaczenia. Kiedy Wiekuisty objawił się Mojżeszowi, mógłby wybrać wtedy potężną górę, a wybrał Synaj, który jest zaledwie pagórkiem. By ukazać się Abrahamowi, wolał krzak, niż drzewa większe i okazałszy. Reb Szapse był napełniony po brzegi tą wiedzą, którą ja zkolei chciałem się napełnić. Poza tem nie żądałem od niego nic.

Oto pierwsza rzecz, którą poznałem w jeszybocie. Dowiedziałem się, że trzeba się przyzwyczaić jeść wieczorem tylko suchy chleb, ponieważ bocherzy mieli tylko jeden posiłek dziennie, posiłek obiadowy. Kupiłem więc, przechodząc, bochenek u piekarza i widziałem ze zdziwieniem, że piekarz sam naznacza kredą siedem kresk na moim chlebie. Odtąd wiedziałem, robiąc to samo później tyle razy, że ta przezorność była mądra. Przestrzeń między dwiema kreskami przedstawiała jedną porcję dla każdego dnia tygodnia. Roztropnie było naznaczać te przedziały, ażeby uchronić się wa pierwszych dnich od pokusy świeżego chleba. Zrozumiałem więc dlaczego mój sąsiad wygłodzony mógł przerwać na chwilę recytację szaloną, ażeby dopytywać się z takim zainteresowaniem, czy nie przywiozłem ze sobą trochę

pro wizji i sam też westchnąłem z żalu za śladziem domu rodzicielskiego.

Dobre kobiety, które czyhały na mój powrót, w nadziei, iż udzielą mi pomieszczenia za kilka kreuzerów, zostały wszystkie narówni zawiedzione. Nie pytając się o moje zdanie, Kacza, Krupna Zupa (to było przezwisko, jakie dało mojemu mentorowi, ponieważ przepadał podobno za tem pożywieniem Słowaków), zabrał mnie do swojej gospodyni i kiedyśmy przyszli, już trzech z naszych kolegów było zajętych, u schyłku dnia, zjadaniem twardego chleba. To był nędzny pokój, nieobielony wapnem już od Paschy. Tam w półmroku odróżniłem trzy sienniki. Trzy sienniki dla pięciu, mój Boże, nie było na co narzekać. Jednakże podczas jedzenia dało się słyszeć jakieś jęczenie, pochodzące z jednego z sienników. Zauważyłem potem, że leżała tam jakaś stara kobieta, nasza gospodyni, która podobno była paralityczką i nie opuszczała swego tapczanu. Zostały więc tylko dwa sienniki dla nas pięciu. Zresztą, dwa sienniki dla pięciu, można sobie jakoś jeszcze poradzić!

Skończywszy swój skromny posiłek, moi czterej koledzy zebrali się dokoła jednej świecy i znów zaczęli nucić i kiwać głową, albowiem nie z uka-

zaniem się pierwszej gwiazdy kończy się dzień bochera. Oni przygotowywali tekst Talmudu, który Reb Szapse miał nazajutrz rano wyłożyć. Chodziło o to, o ile sobie przypominam, jak należy rozróżnić wołu „muad“, to znaczy, przyzwyczajonego do wyprawiania szkód, od wołu „tham“, to jest bydłęcia nieświadomego, które uczyniło szkodę bez złośliwości. Rozróżnienie to niezbędne jest do oszacowania szkody, jaką bydłę spowodowało. Nie przychodzi ono łatwo, lecz tego wieczoru, po dwóch dniach podróży, nie byłem w stanie śledzić za biegiem skomplikowanej dyskusji nad „muad“ i „tham“. Położyłem się na brzegu jednego z sienników i spałem dopóki mnie nie obudziło jakieś dziwne uczucie. Zdawało mi się, że jakiś sznurek był przywiązany do mojego ramienia, i że go pociągnięto. Myślałem, że śnię, lecz to nie był sen. Sznurek rzeczywiście był przywiązany do mojego ramienia i pociągano go ręką niecierpliwą, jakoby sznur dzwonka. Dzwonek, stałem się nim w istocie. Takie proste, jeżeli się ma szczęście spać w jednym pokoju z paralitykiem, który nigdy oka nie zamyka, dać mu do ręki jeden koniec sznurka, a drugi przywiązać sobie do ramienia przed snem. Jak tylko dzień zaczyna świtać, stara po-

ciągnie za sznurek. Niema budzików pewniejszych i tańszych zarazem.

Podczas snu przywiązano mi sznurek, jako najmłodszemu i ostatniemu z przybyłych. Przypuszczając, że urządzono mi kawał, rozwiązałem supeł i odwróciłem się, by dalej spać, gdy wtem, z drugiego końca pokoju, z tapczanu, na którym leżała stara, doszedł mnie krzyk:

— Hej, bocherze, dlaczego czekasz i nie budzisz swoich towarzyszy? Chcesz spać do obiadu?

Sądząc z światła, była zaledwie piąta. Obok mnie, moi towarzysze przyciśnięci jeden do drugiego, spali jak zabici po bitwie. Potrząsnąłem mego sąsiada, zrazu lekko, później nieco ostrzej, a on, gdy tylko się obudził, zaczął nakrapiać wodą pozostałych trzech śpiących i ci podrywali się natychmiast mruczając, nie obrażając się jednak z powodu tego żartu. To była nasza toaleta. Pięć minut później byliśmy w jeszybocie.

Był już pełen szumu, ziewania i psalmów. Każdego rana zresztą, w ciągu dwudziestu minut recytowaliśmy psalmy, ażeby oświecić umysł pełen jeszcze mroków nocy i rozgrzać trochę ciało, gimnastyką uświęconą. W międzyczasie dzień wstawał, oświetlając powoli wszystkie smutne rzeczy, które napełniały to miejsce, ławki, pulpity, beczkę

z wodą do obmywania rąk, zasłonę szafy świętej i nas samych, godnych litości i naszą całą młodość uwiędłą. Małpie Ramiona, choć miał długie ręce, z trudnością przynosił ze stołu umieszczonego pod szafą dla Tory, te wszystkie: Rif, Ram, Ramban, Maasan, Maasof, Maasaf, Hassan Sofer, krótko mówiąc, wszystkie książki potrzebne do lekcji rannej. Reb Szapse wszedł, witany błogosławieństwem, które się odmawia przy ukazaniu się znakomitego uczonego:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, że stworzył znakomitych uczonych!

Wszyscyśmy rzucili się, by ucałować jego chałat. Naturalnie, że robiłem to samo co inni i pytam się sam siebie, czy dużo miałem w swoim życiu podobnie smutnych poranków, pełnych entuzjazmu i przejętych jeszybotem, kiedy to z chwilą gdy tylko Reb Szapse usiadł, trzydziestu młodych Żydów, jakby cudem oderwanych od wszystkich trosk ziemskiego życia, przeniesionych w atmosferę nie wiem jakiej planety zmarłej, zabrało się do dyskusowania nad rzeczami najbardziej oddalonymi, najbardziej niepotrzebnymi, jakie można sobie tylko wyobrazić.

Tego dnia, jak już powiedziałem, Reb Szapse studjował rozdział Talmudu, który omawiał szkody



jakie może powodować wół przyzwyczajony bóć rogami. Komplikowało sprawę to, że ten wół był stale złośliwy tylko w stosunku do bydła swego rodzaju, w stosunku do innych był nim tylko w przerwach, za wyjątkiem w każdym razie soboty, kiedy nie pracując, brał się do mniejszych zwierząt. Jak tu oszacować szkody powodowane przez tego wołu djabelskiego, raz „muad“, to znów „tham“? Znakomity rabbi Zbid, rabbi Asze, i rabbi Januai są tego samego zdania, lecz niemniej znakomity rabbi Zumkhus jest zdania innego. Jeszybot podzielił się na dwa obozy, które rozdrobniły się na trzy i cztery i aż do obiadu między Reb Szapsą, a jego uczniami działo się to, co zwykle podczas dyskusji talmudycznej; czy chodziło o wypadek słuszny albo bezsensowny, zawsze to samo szalone polowanie na argumenty, na wykrety i hipotezy, które dochodziły do ekstrawagancji i rozpalały nam mózgi, jakoby w tej szopie, zagubionej w jakimś zakątku Węgier, wrzał ogień Babilonu. Widząc nas tak roznamiętnionych, możnaby było pomyśleć, że nasze życie należało do tych problemów, wynalezionych przeszło dwa tysiące lat temu, między Tygrem a Eufratem. W gorączce dyskusji nikt nie utrzymał się na swoim miejscu. Opuściliśmy

wszyscy nasze stoły i ławki i podobnie do myśliwych, którzy osaczają zwierzynę, otoczyliśmy Reb Szapkę, jakgdyby dla przeszkodzenia by jakieś pytanie nie ulotniło się z ciasnego koła, w którym trzymaliśmy je zamknięte.

Reb Szapka był godny podziwu w tem polowaniu ekstrawagancyjnym. Był godny podziwu w przeciwstawianiu sądów, w wydobywaniu z nich przeciwieństw istotnych lub zmyślonych, w rozdzielaniu swojemi ruchliwemi palcami tego, co zdawało się tworzyć jedno, albo przeciwnie, w zbliżaniu z krańców horyzontu, rzeczy, które się wzajem wykluczały. Każdy z nas miał prawo przerwać mu w każdej chwili i powiedzieć bez żenady: „Rabbi, mylicie się! Popelniacie błąd logiczny!“ no i przedłożyć swoje hipotezy. Wkrótce każdy miał swoją. Każdy krzyczał, gestykulował, wrywał drugiemu słowa, kradł myśli, wyczytywał w oku sąsiada to, co tam się zradzało. Krzyki, które słyhać na giełdzie, cały rozgardjasz bezczelny umysłu i ciała, ten nieład, to szaleństwo zupełnie niezrozumiałe dla niewtajemniczonego, to wszystko myśmy wynaleźli i przenieśli do stóp giełdy: to roznamiętnienie jeszybotów. Lecz w jeszybocie, w naszych wysiłkach bezsensownych, ażeby przepchnąć jak to mówią, wielbłąda przez

dziurkę igły, co za bezinteresowność, co za nę-  
dza, co za zaparcie się dóbr ziemskich! Kiedyśmy  
podczas dni niezliczonych zastanawiali się, na-  
przykład, w jakiej chwili garnek koszerny, z któ-  
rego płyn przelał się do garnka trefnego, prze-  
staje sam być koszerny, czy w chwili, kiedy płyn  
wychodzi z garnka koszernego, czy kiedy wcho-  
do naczynia trefnego; kiedyśmy się nad tem za-  
stanawiali, przywołując w pomoc wszystkich uczo-  
nych Izraela, ach, doprawdy, byliśmy wtedy  
daleko od giełdy! Byliśmy może szaleni, ale szla-  
chetni. Byliśmy czystem uduchowieniem Izraela,  
Spinozami bez genjusza, lecz dzięki subtelności  
i pogardzie dla dobra ziemskiego jednak Spino-  
zami.

Co za nedorzeczność myśleć, że naród Izraela  
jest tylko narodem ludzi praktycznych! To jest  
naród najbardziej chimeryczny jaki widziano we  
wszechświecie. Wskażcie mi jeden gest tego na-  
rodu, któryby nie był napiętnowany cechą nie-  
wiem jakiego szaleństwa i często szaleństwa naj-  
piękniejszego? Nie myślcie przedewszystkiem, że  
jego powodzenie w interesach jest dowodem cze-  
goś przeciwnego. Właśnie dlatego, że Izrael roz-  
nosił wśród ludzi, z kraju w kraj, swe szaleństwo  
i swoją imaginację, tak dobrze mu się powiodło.

On nie jest inny w swoich interesach, niż w swojej religii; w swoich kramach w Karpatach, czy w swoich biurach w New-Jorku, on nie jest innym od nas bocherów, w naszym jeszybocie, podczas dni zimowych,

Następnie, zastanawiając się nad tą dziwną księgą, nad Talmudem, gdzie Żydzi zagrzebali chaotycznie, nie starając się o żaden porządek, myśli najlepsze i najgorsze, najbardziej żyzne i najbardziej bezsensowne, wtedy zdałem sobie sprawę, że wartość tego olbrzymiego śpichrza myśli hebrajskich, leży nie w tych nieskończonych subtelnościach rozumowania, lecz w myśłach prostych i ludzkich, którymi Talmud jest przepełniony. Tak, lecz w naszych jeszybotach idee ludzkie i proste wcale nas nie zajmowały. Dla prawdziwego talmudysty myśl jasna jest rzeczą najmniej godną podziwu na świecie. Jeżeli jest jasna, to tylko czysty pozór. Pod tą trawą są sidła, pod tą wodą jest otchłań. Znajdowaliśmy natychmiast środki, by wszystko zmącić, by rzucić w tę przejrzystość, dwie rzeczy, które idą dobrze w parę, subtelność i bezład. To co nas porywało, to były wypadki dziwaczne, dyskusja nad problemem skomplikowanym. Jaką przestrzeń wolno przebyć w sobotę i jak możnaby przedłużyć

tę przestrzeń? Jaki ciężar - można nosić w świętym dniu sabatu, nie przekraczając przepisów Prawa, i w jaki sposób należy nosić ten ciężar?... Do jakiej skali należy podnieść głos podczas modlitwy? Czy wystarczy siebie samego słyszeć, czy trzeba być słyszonym przez wszystkich?... Co należy czynić, jeżeli wlażesz na drzewo i godzina modlitwy cię zaskoczy?... Jeżeli żmija owija się dokoła twojej nogi, czy należy przedłużyć modlitwę?... A jeżeli to jest skorpion, którego ukąszenie jest śmiertelne?... Czy wolno zabić wesz albo pchłę w sobotę? Albo zjeść jajko zniesione w sobotę? Albo zerwać kwiat, by wąchać jego zapach?... Ile białych włosów mogła mieć krowa ryża, przeznaczona do ofiary, nie przestając mimo to być ryżą? Wielki kapłan, czy powinien był wkładać wprzód koszulę, potem spodnie?... Tyle pytań dziwacznych, w naszych małych uczelniach podniecało w nieskończoność komentarze naszych rabinów i popychało do szału nasze gadanie namiętne.

Nad temi szaleństwami babilońskimi, które mnie tak bardzo oczarowały, i które burzą się jeszcze wgłębi mej pamięci jako wspomnienie innego życia, ileż czasu nad nimi straciłem, ile dni i nocy! Ile czasu również Izrael stracił od tyłu wie-

ków! Ale czyż mam prawo tak mówić? Tyle za-  
wdzięczamy temu staremu śpichrzowi! Kiedy  
w całym chrześcijaństwie było w głębi klaszto-  
rów zaledwie kilku mnichów, którzy interesowali  
się ideami, widziano u nas Żydów, w każdym  
z naszych domów wzgardzonych, mnicha, du-  
chownego, chcę powiedzieć rabina, niekiedy na-  
wet dwóch i trzech którzy z Talmudem na ko-  
lanach śledzili za myślą starą i w absurdalnym  
stosie ksiąg szukali reguł życia. Myśl ostrzyła się  
na tych studjach, a nawet na nedorzecznosciach.  
Ona się wyostrza dzięki temu i dzisiaj jeszcze. Za  
każdym razem, gdy na drodze mego życia przy-  
padkowo spotykałem jednego z tych zbiegów  
jeszybotu, przerzuconych na drogę interesów, był  
to śmiałek groźny, który zapewniam Was, nie  
stracił czasu podczas pobytu w uczelni Reb Szapsy.

Najlepsze rzeczy mają swój koniec. Do po-  
łudnia wyczerpaliśmy jako tako wszystko co  
można sobie wyobrazić o wypadku wołu „muad“  
i wołu „tham“. Jak intruzi, dwanaście uderzeń po-  
łudnia, pochodzących z dzwonnicy kościoła, wpadło  
brutalnie przez okno otwarte. Piorun Wszechmo-  
gącego, przewalając się na dachu, nie rozpedziłby  
lepiej na cztery strony świata Reb Szapsy, i jego  
stada. W mgnieniu oka jeszybot był pusty. To

była godzina obiadowa. Wszyscy bocherzy śpieszyli na obiad i czynili to z niemniejszą gorliwością jak przed chwilą dyskutowali. Grupami rozchodzili się do domostw kilku nabożnych Żydów, którzy im dawali obiady. A dzieje się to w ten sposób: każdego rana, by uświęcić swój dzień, każdy nabożny Żyd ofiaruje obiad jednemu lub kilku bocherom. To się nazywa „jeść dzień“. W dwojkę, trójkę, niekiedy w czwórkę, rozchodzili się do różnych ludzi, którzy dawali jeść. Małpie Ramiona zaprowadził mnie do Reb Nathana Kolina, u którego miałem „zjeść mój dzień“.

Reb Nathan był wysokim Żydem, jakichs pięćdziesięciu lat, o brodzie jak pieprz z solą, rozdzielonej na dwa długie kliny, na wzór Mojżesza. Zdziwiłem się, widząc, że był ubrany jak woźnica, co wcale nie licowało z jego tytułem. Na chałacie nosił krótki kozuch i czapkę futrzaną na jarmułce aksamitnej. Przyjął nas, Małpie Ramiona i mnie, jakgdyby Małpie Ramiona przyprowadzając mnie, przyniósł mu Torę.

— Baruch haba\*, rzekł klepiąc mnie po plecach. Dzięki zanoszę rabinowi, że cię przysłał!

---

\* Witaj.

Wiesz dobrze, Małpie Ramiona, że niezawsze byłem nędznym woźnicą, zmuszonym żyć ze zwierzętami! Co za honor mieć przy stole bochera tak znakomitego! Płakałem nie mając żadnego bochera. On uświęci mój dom!

Następnie zwracając się do jakiejś starej kobiety, której dotychczas jeszcze nie spostrzegłem:

— Ty również uciesz się, Babele! Będziesz go karmić krupą i grochem oszczędzonym. Ach, mój synu, z nią nie będziesz nieszczęśliwy. Nikt tak nie umie przyprawić karpia, ani usmażyć kukurydzy!...

— Dobrze, przerwała stara, będę go karmić, twego bochera! Lecz w poniedziałek i czwartek jest post.

— Postanowione, postanowione, odrzekł Małpie Ramiona, sam śpiesząc, by pójść zjeść swój dzień.

Zostałem sam z moimi gospodarzami.

Jadło było bardzo skromne. Prawda, nie spodziewano się mnie. Zjadłem tego dnia tylko rozprawę Reb Nathana. Zaiste, on nie zawsze był nędznym woźnicą! Błogosławiony niech będzie Wiekuisty, prawie dwadzieścia lat był mełamedem, mistrzem chederu w Szuranie. Prawie dwadzieścia lat wszyscy mogli go widzieć jak nauczał



dzieci miasteczka czytać Torę, dzieci, z których wszystkie prawie stały się znakomitymi pomiędzy znakomitymi. Lecz trzeba było ażeby Mendel Kolin, jego krewny, oddał duszę Panu. Nicby się nie stało, jeden Żyd więcej w Szeol'u. Tylko ot co, Mendel Kolin zostawił testament i całe nieszczęście pochodzi stąd.

— Wielkie nieszczęście, mój synu, kiedy rabin zwołał wszystkich Kolinów i rzekł nam: „Zebrałem was wszystkich, by wam oznajmić, co Mendel Kolin rozkazał: dom będzie dla jego siostry, wdowy Kolin; pole dla jego siostrzeńca, bochera Mordcheja; tałas o srebrnych frendlach... „Ach, mój synu, ktoby mógł pomyśleć, że to nie mnie, mnie człowiekowi wiedzy, Mendel zostawi ten skarb? Otóż nie, tałas dał szewcowi Kalmenowi. Myślałem więc, że odziedziczę futro. Otóż mój synu i tego również nie, Bóg tego nie chciał. Dla syna szewca był przeznaczony ten kozuch. Wreszcie rabin oznajmił: „Mendel Kolin zostawia swoje dwa konie swojemu siostrzeńcowi Reb Nathanowi“. Rzekłem więc: „Co ja zrobię z końmi?“. Wtedy Kalmen mi odpowiedział: „Zostaniecie woźnicą, pojedziecie w dniu targu do miasta“. — „Dobrze, odrzekłem, zostanę woźnicą, lecz co ja pocznę, jeżeli prorok Eli uderzy

w swe trąby pewnego dnia targu? Co pocznę z moimi końmi, jeżeli Mesjasz przyjdzie do nas, podczas gdy ja się będę przechadzał w jakimś miasteczku chrześcijańskim?“. — Ech, mój wuju, dodał, wtedy konie również będą szczęśliwe i was przywiozą galopem!“ Zostawiłem więc, mój synu, cheder, porzuciłem kańczug dla bata. Odtąd tłukę się po drogach, nigdy na miejscu, nigdy odpoczynku, ja, który dwadzieścia lat nie ruszyłem się z chederu, jak świecznik z bóżnicy...

Dręczony głodem, przed moim pustym talerzem, słuchałem go jak we mgle. Głosem wspinałym, jakgdybyśmy odprawili tego dnia ucztę, jaką Józef ofiarował swemu ojcu i braciom swoim, w swoim domu w Egipcie, zmówił modlitwę — dziękczynną, która zakańcza posiłek. Ja również dziękowałem Adonaj, ale z mniejszym wylaniem. W chwili gdy odchodziłem:

— A więc do jutra, mój synu, rzekł, jesteś miłym i rozmownym towarzyszem. Dzisiaj byłś niespodzianką. Dużo głów, a mało jedzenia, lecz jutro jest również dzień. Jutro ci wyrównamy.

Niestety! nazajutrz i dni następnych, nigdy nie zaspakajałem głodu u Reb Nathana, chociaż za każdym razem obiecywał mi rzeczy smaczne, które tylko jego żona umiała dobrze przyprawić

w miasteczku. Jeszcze, gdy on był w domu, jego gadulstwo niewyczerpane pomagało mi trochę zapomnieć o tem, że obiad był tylko cieniem. Lecz najczęściej bywał on w drodze na swoim wózku, a ja jadałem ze starą, która najwidoczniej nie miała przyjemności karmić obcych ust, tych ust, które pozostałą część dnia były na usługach Tory. Bez najmniejszego wstydu, rzucałem się z zachłannością na chudy kęs, który kładła przede mną i ze względu na dobre maniery nie zostawiałem ani kruszynki.

— Oby Bóg ci przebaczył twe grzechy! mruzczała Babele. Nie znasz naszych zwyczajów! Jadasz jak prawdziwy poganin!

Ażeby ją rozzłościć, udawałem, jakoby czekał na jeszcze, jakoby jeszcze jedno danie miało nastąpić. Lecz natomiast słyszałem jej kwaśny głos:

— Bocherze, możesz zmówić modlitwę (to znaczy, możesz pójść).

— Jeszcze chwilę, mówiłem. Słuchajcie Babele. Pan Bóg obdarzył naszą matkę Sarę synem, którego się wcale nie spodziewała, albowiem była znacznie starsza od was. Może on nas obdarzy za chwilę pieczoną gąską!

— Zuchwalcze! Gąski niebiańskie nie są dla ciebie!

— Lecz te które są na podwórzu? dodawałem zwykle, by powiedzieć ostatnie słowo i wstałem, by zmówić modlitwę.

Co zaś do poniedziałków i czwartków, Babele dotrzyzymała słowa: poszczono u Reb Nathana, a ja w tych dniach nie jadałem.

W piątek, rzecz niesłychana, w jeszybocie Reb Szapsy, panowała najgłębsza cisza. W tym dniu, wszyscy świętni gawędziarze, którzy resztę tygodnia w najlepsze napełniali jeszybot swemi krzykami, opuszczali go natychmiast po rannej modlitwie, by rozproszyć się po okolicach. Rozchodzili się małemi grupkami do okolicznych miasteczek, gdzie było kilka domów żydowskich. I błogosławiony niech będzie Bóg, który rozsiał nas wszędzie potrochu! Rozumiecie chyba, że nie chodzili oglądać jak skowronki latają. Dla nas skowronki nigdy nie latały! Oni chodzili żebrać tu i ówdzie od Żydów, i zbierać kreuzera za kreuzerem, by mieć za co kupić chleb wieczorny. Każdy z nich miał swoje dobra, swoje państwo żebracze, które odwiedzał co tydzień w piątek, od rana do wieczora. Następnie, wracali do Szuranu przed ukazaniem się pierwszej gwiazdy,

która oznajmia nastanie soboty, albowiem od tej chwili prawo święte zabrania nam robić sto kroków poza gminę.

W pierwszy piątek po moim przyjeździe, Krupna Zupa, ażeby być posłusznym rabinowi, który mnie polecił jego pieczy, zaproponował mi abym mu towarzyszył w jego tournée, wprawdzie dosyć niedbale, ponieważ niebardzo jest przyjemnie podzielić z kimś dorobek jednego piątku. Czyż nie jasno przeczułem to, albo raczej, czyż nie ustąpiłem jakiejś bezrozumnej pysze? Odpowiedziałem, że nie zebrzę. Dzięki Małpim Ramiouom, którego interwencja tak skutecznie uchroniła mnie owego dnia od gestu wielkiego pana przed dziećmi miasteczka, dzięki niemu, to zostało mi jeszcze coś z dwóch florenów, które matka mi dała, a które ja uważałem za skarb niewyczerpany. Krupna Zupa nie nalegał. Każdy z moich czterech towarzyszy pociągnął w swoją stronę, a wieczorem widziałem ich jak wracali i jak każdy na wyścigi wychwalał przyjęcie jakie urządzone. Krupna Zupa przyniósł florena i kawałek tej wyśmienitej rzeczy, zwanej chałą, którą mnie poczęstował, dając mi akurat tyle, ileby starczyło na nakarmienie myszy. Niech mu Pan Bóg to zwróci. Izrael Wertheimer zebrał osiem-

dziesiąt dwa kreuzery i pół świecy. Fuks Kaszeł, ile to on przyniósł? Nie przypominam sobie już tego i dziwię się jak ta liczba mogła mi zniknąć z pamięci! To wszystko jednak było niczem w porównaniu z tem, co wyciągnął ze swojej sakwy mój sąsiad z tapczanu, Namu Szyff, którego nazywano Dandysem. Dandys! Jak to przerwisko brzmi obco gdy nadane jest bocherowi. Jak ono dziwacznie towarzyszy swojemi odbiciami złoconemi jakiemuś imieniu: Naum Szyff! A jednak, tak, ten Naum Szyff był prawdziwym dandysem. Jego chałat był tak samo brudny jak nasze, lecz nie wiem jakim cudem plamy na nim nie czyniły tego samego efektu co na naszych. Krój również był ten sam, a jednak miał wygląd jakoby nie wyszedł od tego samego tandeciarza. Zawiązywał na szyi swoją chusteczkę w sposób szczególny, nie do naśladowania, a na jego głowie kapelusz zupełnie podobny do mojego, przyjmował wygląd zachwycająco dystyngowany. To się spostrzegąło z pierwszego rzutu oka i ja to zauważyłem momentalnie. Dlaczegoż wszyscy nie mieli go widzieć takim jak ja? Niewątpliwie z powodu tego przyjemnego wyglądu, podczas jego przechadzki piątkowej, kreuzery zamieniały się w korony, a chleb zwykły

na chałę, a kurczę pospolite na gąskę. Tylko dla niego kukurydza smażona padała jak złoto, kamienie przydrożne stawały się cebulami i wciągu całego tygodnia mogłem go oglądać kątem oka (nie ja jeden patrzyłem na niego oczyma zazdrości), mogłem go widzieć jak uprzyjemniał swój suchy chleb wszystkimi smakołykami, które wypchano jego sakwę.

Widok Nauma Szyffa, smarującego chleb dosyć ładną warstwą szmalcu gęsiego, zachwiało przekonania jakie miałem o żebractwie. Następnego piątku, chętnie również i ja chciałem żebrać, lecz tym razem Krupna Zupa nie zaproponował mi, bym mu towarzyszył. Zostałem sam w Szuranie, ku wielkiemu niezadowoleniu Babele, ponieważ mnie miała jeszcze tego dnia na obiedzie.

— Dlaczego nie idziesz żebrać, jak wszyscy inni bocherzy? pytała mnie kwaśno.

— Nie żebrano w naszej rodzinie! odpowiedziałem starej, jakoby obiady, które u niej jadłem. również nie były jałmużną.

Nie wątpię, że gdybyśmy byli sami, ona zwróciłaby mi na to uwagę, lecz Nathan Kolin był obecny i zawołał, zawsze wspaniałały w słowa:

— Chciałbym, ażeby tydzień miał osiem dni, by ci dać jeden dzień więcej!

Po obiedzie, nieco zafrasowany tem w jaki sposób zdobyć chleb wieczorem (dwa floreny nie są niewyczerpane!), udałem się do miasteczka, ręce w tyle, w kieszeniach chałatu, jak prawdziwy rabin. Doszedłem w ten sposób, wałęsając się, do jakiegoś placu, ocienionego czterema ładnymi lipami. Pod lipami stała figura a niedaleko ławka. Zaledwie usiadłem, gdy jakaś kobieta nadbiegła krzyżąc: „Nieszczęsny Żydzie! to jest ławka świętego Andrzeja. Czyż nie wiesz, że on tu siada, kiedy jest zmęczony stanem na swoim kamieniu?“ Pośpieszyłem się, by wstać, wtedy ona trochę złagodniała i powiedziała już tonem miłszym, że święty Andrzej obrał to miejsce, by widzieć przechodzących włóczęgów i z ich miny wyczytywać co knują w swoich sercach. „Widzisz, mały żydzie, dodała, on nie ma ani pieniędzy, ani torby, ale jeśli to są dobrzy chrześcijanie, on kładzie swoją rękę za plecy a ona napęlnia się chlebem i pieniędzmi. Świętych jak on, wy Żydzi nie posiadacie!“.

Upokorzony jej słowami, oddalałem się, nie mówiąc ani słowa, ale myślałem o moich towarzyszach, którzy chodzili od domu do domu żydowskiego: „Ach tak! mówiłem sobie, świętych jak on, my Żydzi posiadamy! Najbiedniejszy u nas



daje jałmużnę jak ten święty Andrzej. Skąpa Babele nawet! Ona nie potrzebuje dopiero wstąpić na cokół, jak ten bożek chrześcijan!“

Oddalałem się, z głową opuszczoną i zastanawiałem się nad tem, gdy nagle doszedł mnie głos, któryby mnie więcej nie zdziwił, gdyby nawet sam święty Andrzej do mnie się zwrócił. To był głos Reb Szapsy.

— Co tu robisz bocherze, zamiast iść żebrać z innymi?

— Rabbi, odrzekłem jak starej Babele, nie chcę żebrać.

Po tych słowach, rabin się zatrzymał. Jego twarz wyrażała najgłębsze zdumienie.

— Czyż na głowę upadłeś? powiedział patrząc na mnie jakoby mnie nigdy nie widział. Dlaczego nie chcesz żebrać? Czyż żebrać jest ujmą honoru? Od kiedy to bocher jest shańbiony, prosząc o jałmużnę? Od czasu jak syn Lipszyca wstąpił do Reb Szapsy? Wiedz zatem, Jakóbie Lipszyc, że ten kto studjuje święte Prawo, dosyć czyni dla Izraela. Kto daje bocherowi, daje Torze samej!

Zaczął znów chodzić i po kilku krokach:

— Powiedz, Jakóbie, ciągnął dalej, czyż spotykałeś kiedy starych, bardzo starych żebraków?

— Tak, Rabbi, — odpowiedziałem — spotykałem i to często.

— Czy przekonany jesteś, że Wiekuisty wykazuje swoje zadowolenie, dając nam długie życie, a karze nas za grzechy, nasyłając śmierć?

— Niewątpliwie, Rabbi.

— Więc czyż nie widzisz Jakóbie, w każdej chwili, przed twemi oczyma żebraków, żyjących długie lata, a znów przeciwnie szewca, który choć pracował całe życie, umiera o wiele młodej. Co to oznacza, jeżeli nie to, że Wiekuisty ochrania pierwszego, a skazuje drugiego?

— Dobrze rozumowane, Rabbi.

— Czyż nie widzisz jeszcze, że dnie zmniejszyły się u ludzi, którzy dużo pracowali, a mało służyli Torze?

— Tak Rabbi, macie wciąż rację.

— Powiedz mi jeszcze, który dzień jest najbardziej miły Bogu?

— Święty dzień Sabatu.

— Dzień, w którym człowiek nic nie robi, rzekł Rabbi zatrzymując się, w którym wszystkie prace są zawieszane, w którym nawet zwierzę odpoczywa. A teraz, wstąp do jesybotu zamiast włączyć się po ulicach miasteczka i czytaj w Księdze Samuela werset 5 i 6.

Nikt nie zaprzecza, że nasz król Dawid, nim panował nad Izraelem i Judą, prowadził życie włóczęgi i widziano go zebrzącego w domach Filistynów. Lecz może nie wiecie, że tę historję się czyta u Samuela w wersecie 5 i 6?

Niepokój mój był uzasadniony. W następną srodę po tym wypadku, nie miałem już okruszyny, by włożyć do ust i ani jednego kreuzera w kieszeni. Na nieszczęście od czasu istnienia świata, po srodzie zawsze następował czwartek, a w tym dniu poszczono u Babeli. Tego czwartku po obiedzie czytaliśmy w jeszybocie „Sentencje mądrych“, gdy nagle sentencje, opanowane jakimś szałem, zaczęły krążyć dziwacznie przed memi oczyma. Czułem jak głowa mi się ulatnia, jak ramiona i nogi opuszczają ciało, podczas gdy Krupna Zupa, obok mnie, wciąż kiwa szalenie ramionami i głową w swoim zawrotnym biegu ku wiedzy. Krupna Zupo! Krupna Zupo! To imię powiększało jeszcze moje omdlenie. Bezrozumnie odmówiłem mu owego dnia towarzystwa, a teraz za nic w świecie nie chciałbym mu powiedzieć: „Krupna Zupo, umieram z głodu, jestem trup, jestem w stanie przedśmiertnym“. Przypominam sobie bardzo dobrze, jakoby we śnie lub w halucynacji, że wszystko co zostało we mnie ze świa-

domości uczepliło się jakiejś starej legendy, jakoby jedynej rzeczy, która miała jeszcze siły utrzymać mnie przy życiu.

Czy znacie historję Hillela? Zdarzyła się dawno temu, kiedy król Herod panował nad Judeą. W tym czasie, Hillel, uczony nad uczonymi, jeszcze jako młody chłopiec przybył z Babilonu do Jerozolimy, by wstąpić do szkoły Szammajego i Abtaljona. Lecz ten zły żyd Herod, chcąc sprzyjać Rzymianom, przeszkadzał Żydom w oświecaniu się Torą i za każdym razem, kiedy Żydzi chcieli przekroczyć próg jakiegoś jeszybotu, zmuszał ich do płacenia pewnej sumy pieniędzy. Hillel był biedny, i nie mógł zapłacić sumy żądanej przez Heroda. Co więc zrobił? Prześlizgnął się przez dach sąsiedniego domu, na dach domu Abtaljona i tu, przechylony nad krańcem, nie tracił ani jednego słowa z tego co nauczał Rabbi pod arkadami dziedzińca. To było zimą i śnieg padał obficie w Jerozolimie i w okolicach. Padało również na Hillela. Odrętwiały z zimna, nie przestawał słuchać Abtaljona i słuchał go tak długo, aż nazajutrz znaleziono go przykrytego śniegiem, napół martwego... Ja również byłem Hillelem. Byłem Hillelem i byłem sobą. Nie skarżąc się, bez ruchu, ja również pozwoliłem się zamorzyć i głodem i śnie-

giem. „Jak on umrę, mówiłem sobie. Jak Hillel! Jak Hillel!...” Co się stało potem? Obudziłem się nagle, koło beczki z wodą do obmywania rąk. Moi towarzysze zakrapiali mnie wodą. Byłem zmuszony wyznać im, że umierałem z głodu. Małpie Ramiona pobiegł do Reb Szapsy. Wzmocniono mnie trochę wódką i mlekiem i zdarzył się wtedy wypadek, którego nigdy nie zapomnę. Dano i mnie państwo, państwo żebracze. Oddano mi w lenno pewną ilość miasteczek, dokąd mogłem co piątek pójść żebrac. Wchodząc na stół, z kolei każdy bocher, z akcentem księcia, który oddaje pewne terytorjum swemu baronowi, pozbawiał się dla mnie jednej z okolic, gdzie żebrał: „Ja mu oddaję Szent Imrę! mówił jeden. — A ja Kismany! oznajmiał drugi. — A ja Feher Waros! wykrzykiwał trzeci. W ten sposób spadały na moją głowę korony, tworzyły się bogactwa, zaokrąślały dobra. Ci żebracy rozdawali swoje ziemie i z jaką radością w ich niewiarogodnem utrapieniu. Ta scena dawna, wgłębi tych miasteczek, to Izrael staje mi przed oczyma, pełen szlachetności, iluzji i komizmu. Izrael żebraczy, który się uważa zawsze za księcia; Izrael podeptany, który się uważa zawsze za władcę świata; Izrael biedny, który się zawsze

uważa za bogacza i który nim jest w rzeczywistości dzięki sile swej imaginacji. Ja sam w tej chwili straciłem poczucie moich warunków nędznych; byłem księciem jak oni. Chwiejny stan omdlenia, w jakim się jeszcze znajdowałem, potęgował to mniemanie. Nigdy nie zapomniałem tej chwili. Jest to najbardziej wzruszająca chwila mego życia, w każdym razie jedyna, w której widziałem się bohaterem przybranym w złoto i lazur, u stóp którego potężne mocarstwa składały skarby świata.

Następny piątek był mniej wspaniały. Iluzja opadła. Z jaką nieśmiałością wkroczyłem do dóbr, jakie dla mnie zachowano! Wlokąc się poprzez moje państwo krokiem zmęczonym, myśląc się po drogach, zbliżałem się do miasteczek ze strachem przed psami, szukając okiem niespokojnym małych pudełek z blachy, które pozwalają rozpoznawać mieszkanie Izraela, a skarby, zapewniam was, nie sypały się na głowę! Wbrew powiedzeniu rabina: „Kto daje bocherowi, daje Torze samej“, Boże, ileż sposobów Żyd i Żydówka znajdują w piątek, by nie dać jałmużny przechodzącemu bocherowi! Mąż jeszcze nie wrócił; kobieta ma ręce zajęte ciastem i nie może przerwać swej pracy, ten znów stracił krewnego

i siedzi skurczony w popiele, a według zwyczaju, to jemu właśnie należy coś ofiarować; ta zaś nie lubi bocherów, bo jej skradli kurczę i t. d. i t. d. Wróciłem jednak do Szuranu z pewną sumą w kieszeni, lecz gdy pokazałem ją Dandysowi, ten się kwaśno skrzywił: „Nauczysz się, rzekł. Reb Akiba nie stał się uczonym w ciągu jednego dnia“. Istotnie, szybko zdobyłem świetną pewność siebie. Stara idea, że świętość i wiedza mają to samo prawo do jałmużny, wydała mi się wkrótce słuszną i nie podawałem jej więcej w wątpliwość. Zdobywać swój chleb innym sposobem, wydawałoby mi się upokorzeniem. W moich oczach wszyscy Żydzi, którzy uprawiali rzemiosło świeckie, czy byli bogaci czy biedni, wydawali się niżsi ode mnie i gdy pewnego dnia wchodząc do jakiejś starej kobiety, ta mi rzekła: „Bocherze, przychodzisz w sam czas, by mi pomóc odsunąć tę szafę“, jakim tonem jej odpowiedziałem: „Bocher nie odsuwa szaf...!“

Nie wyobrażajcie sobie przedewszystkiem, że to życie tak nędzne, było jednostajne. Nędza jest stanem naturalnym u Izraela. On zawsze wesoło zgadzał się ze swoim losem. Właściwie, nawiasem mówiąc, tylko to jest jedną z tych wielkich sił, na których zbudował swój sukces. Gdyby mnie za-

pytano: „Czemu Izrael zawdzięcza swoją potęgę? Czyż byłby bardziej inteligentny od wszystkich innych narodów?“, odpowiedziałbym: „Dalibóg nie, ponieważ go znam i wiem dość dokładnie jakie są granice jego genjuszu, lecz Izrael jest potężny dzięki temu, że największa klęska nigdy nie zbija go z tropu i aż do dna swego nieszczęścia zdolny jest się śmiać“.

Nie znaleźliśmy smutku w jeszybocie, gdzie przecież było nam tak źle. Podczas nocy zimowych, aby się uchronić od zimna, byliśmy zmuszeni krajać wiązki słomy, któremi wieśniacy okrywali kurniki, by zabezpieczyć drób od zimna. My sami dla żartu, dodawaliśmy trudu do tego życia i tak już twardego. Ileż razy podczas nocy zimowych, urządzaliśmy sobie nawzajem tę farsę, która miała u nas zawsze to samo powodzenie. Bierze się przykrycie jednego z sienników, zanurza się w wodzie i zostawia na dworze schnąć, a kiedy zmarzło już dostatecznie i stało się zupełnie sztywne, tak że tylko fałdy i szczeliny zostają, prawdziwy kawałek oceanu lodowatego, wtedy kładzie się je zpowrotem na tapczan. Zgadnijcie co się później stało i krzyki pacjenta, który wyciągnął się na krze.

Dla zdobycia wiedzy, która wydawała mi się wtedy szczytną, nie wystarczały nam dni, spędza-



liśmy nad nią nocę. Było rzeczą zwykłą u nas, moczyć sobie nogi w zimnej wodzie, by odegnąć sen, albo obwiązywać sobie szyję sznurem, przyczepionym do belki sufitu. A kiedy głowa opadała ze zmęczenia, sznur ściągnięty budził nas. Jeszcze jeden dobry środek, kłaść sobie między palec ostatek świecy, którego wosk gorący spadając, wyrывał nas ze snu... Do późnej godziny pracowaliśmy w ten sposób w Szuranie. Gdybyście przechodzili koło naszych małych domków, dostrzegalibyście poprzez okiennice światło świecy, którą kupowaliśmy do spółki i którą, z dumą mogę wyznać, mniej oszczędzaliśmy niż chleb. Gdyby w tym chłódzie mroków bylibyście się zatrzymali przez chwilę, by przyłożyć ucho do drzwi, usłyszelibyście nucenie uświęcone, stary rytm monotony, którym żydzi kiwając swe stare ciała niezmućzone, odczytują teksty święte. Gdybyście zaglądali przez szparę okiennicy, zauważylibyście co się dzieje w pokoju, widzielibyście na ścianach cienie naszych ciał rozkiwanych, a na naszych księgach szalonych, cienie naszych głów równie szalonych. A na dworze wiatr, śnieg, wszystkie odwieczne zwyczaje starej zimy rozhukanej...

O piątej rano znów byliśmy zebrani u Reb Szapsy. Drżeliśmy w naszych chałatach zużytych, lecz sam widok jego brody i warg czerwonych,

z których za chwilę miały wyjść mądrość i szaleństwo, rozgrzewał nas lepiej niż piec. Od najmłodszego do najstarszego, głęboka duma wiedzy egzaltowała nas na samą myśl, że to myśmy byli tem, co najbardziej rzadkie, najbardziej wyróżniające się i najbardziej cenne, kwiat zboża Izraela. Olbrzymie foljały, które Małpie Ramiona przynosił na stół, wydawały nam się ucztą, którą rozłożono przed naszymi pustymi żołądkami. Ach, jak prawdziwe były słowa, które rabin często powtarzał tym z pośród nas, którzy się skarżyli na głód: „Zebrałem was tu, by was karmić nauką hebrajską, a nie by zrobić z was smakoszków!“ Dzień rozpoczynał się, podobny do wczorajszego, podobny do wszystkich tych dni, które Izrael od wieków nagromadza jedne na drugich, jak te stronice naszych świętych ksiąg, których nie wolno odrzucać i które tworzą w naszych bóżnicach czcigodne śmietniska.

Tej zimy, pewnego ranka, z pięciu bocherów, którzy zamieszkiwali pokój paralytyczki, ani jeden nie ukazał się u Reb Szapsy. Zmówiono psalmy; Małpie Ramiona przyniósł księgi, rabin opuścił już swój pokój, a w sforze wychudzonych chartów, którzy się mieli rzucić w trop za Talmudem, pięciu jeszcze brakowało do apelu. Małpie Ra-

miona opuścił jeszybot, by pójść zobaczyć co się stało u nas. Znalazł nas wszystkich pięciu w głębokim śnie. Nasz budzik był złamany, chcę powiedzieć, że nasza gospodyni zapomniała tego ranka pociągnąć za sznurek, przywiązany do mego ramienia, lecz to było wybacalne: paralityczka nie żyła.

— Błogosławiony Sędzia Sprawiedliwy! rzekł Małpie Ramiona nachylając, się nad jej łóżkiem.

— Błogosławiony Sędzia Sprawiedliwy! powtórzyliśmy wszyscy.

Podążyliśmy szybko do jeszybotu, podczas gdy sąsiadki przychodziły do nieboszczki, by spełnić swój pobożny obowiązek.

Pochowano ją po południu. Powiedzieć, że nasz smutek był wielki, byłoby może przesadą. Jeżeli jakaś stara kobieta tyle razy budziła chłopców ku służbie Pana, to można być spokojnym o jej los. W dniu Sądu Najwyższego, jej miejsce zgóry naznaczone jest między Rachelą i Sarą. Jej śmierć wprowadziła nas jednak w przykry kłopot. Kto nas odtąd będzie budził? Gdzie znaleźć podobny budzik? Szczęściem, ona zmarła w czwartek i nazajutrz jeszybot był pusty. Nasz Dandys znalazł sposób. Kogut! Kto od koguta mógł lepiej zastąpić miejsce naszej zmarłej gospo-

dyni. Nie będzie on pociągał za sznurek, lecz z nastaniem świtu będzie wydobywał z siebie krzyk, który przenika duszę pod gęstwiną snu. Na swojej drodze, gdzie zebrał, Dandys znał jakiś kurnik, znajdujący się na podwórzu często pustem. Tylko, czyż wolno skraść koguta, nawet by umożliwić bocherom obudzenie się nad ranem? Ładny temat do dyskusji talmudycznej! U Żyda napewno nie wolno! Lecz z kurnika chrześcijanina?... Tegoż wieczora, Dandys przyniósł w swojej torbie koguta, który miał najładniejszy głos w Karpatach, a nazajutrz obudzeni o brzasku, byliśmy pierwsi u Reb Szapsy.

Dla wszystkich w jeszybocie, Naum Szyff był Dandysem i ja również, jak wszyscy inni, nazywałem go Dandysem. Ale serce moje nadawało mu inne imię. Dla mnie on był Jonathanem.

Później, kiedym już przeczytał Iliadę i Odysseję, poznałem Patroklesa i Achilleasa, Oresta i Pyladesa, a u Wirgiljusza, Nizusa i Euryata, lecz od dzieciństwa znałem tylko Dawida i Jonathana.

Jonathan, syn Saula; najpiękniejsze co istnieje na świecie, to młodość, wierność i przyjaźń. On to odchyła włócznię, którą Saul zazdrosny, chciał przebić Dawida, gdy ten grał na harfie. On to uprzedza swego przyjaciela o niebezpieczeństwie,

jakie mu grozi, kiedy napad złości nawiedza starego króla, on to... Czyż chce wam opowiedzieć historję Saula i Dawida?... Zaiste, nie byłem Dawidem, lecz dla mnie Naum Szyff był uosobieniem Jonathana samego.

Jakkolwiek w tym czasie obecne nie było poczucie piękna, jednak jego wygląd zewnętrzny nie zostawiał mnie bez wrażenia. Uwielbiałem nadewszystko jego umysł. Czułem zadowolenie i jakoby trochę dumy osobistej, widząc jak w jeszybocie przerywa w każdej chwili Reb Szapsie, ażeby przedłożyć swoje przypuszczenia. Dzięki swej śmiałości i pomysłowości, on pozostawiał tak daleko wtyle pozostałych bocherów! Krupna Zupa, życząc sobie tylko pozbycia się opieki nade mną, z zadowoleniem patrzył na to jak oddalałem się stopniowo od niego, by zbliżyć się z Naumem. Kiedy pierwszy, nie będąc natrętnym, mógł z całą uciechą oddawać się recytacjom wściekłym, drugi jednym zamachem objaśniał mi rzeczy najbardziej skomplikowane. Nic go nie obarczało. Z nim wszystko stawało się łatwem. On mnie nauczał lepiej niż sam rabin, który, uniesiony swojemi rozumowaniami, nie troszczył się wcale o karłów, jak ja, którzy nie mogli podążać za jego krokami olbrzyma i włóczyli się za nim,

kulejąc... Następnie, był również smalec gęsi, kawalki smażonego cukru, ciasto z kukurydzy; czego Dandys miał za dużo w swojej sakwie i czem dzielił się ze mną. Wszystko to razem złączone, wdzięczność, podziw, kukurydza i smalec gęsi, głowa przy głowie, nachylone nad tą samą świecą, mroki rozjaśniające się, książka, która staje się zrozumiała, wszystko to nazywało się przyjaźnią z Jonathanem!

Jakaż była moja radość z nadejściem Paschy, kiedy Dandys zaproponował mi, ażebym mu towarzyszył w jego obchodzie! Taki jest zresztą zwyczaj, że na Paschę bocherzy opuszczają jeszybot na trzy tygodnie, ażeby chodźć z miasteczka do miasteczka i zbierać pieniądze na chałat, buty, kilka koszul i książki potrzebne do końca roku. Pewnego ranka udaliśmy się razem w drogę. Szczęście było z nami. Pascha przypada na wiosnę i jakkolwiek byliśmy obojętni na czar wsi, jednak mimowoli poddawaliśmy się urokowi swobody, budzącej się w naturze. Dodajcie jeszcze to, że chwilami stawaliśmy się czemś w rodzaju osobistości. Przyjmowano nas cudownie w synagogach miasteczek, gdzie podczas tych dni świąt oddawaliśmy wszelkiego rodzaju usługi. Śpiewaliśmy pieśni radości, wygłaszaliśmy kazania, pomagaliśmy

w sortowaniu ziarn pszenicy, z których się piecze mace i w których nie może się znajdować ziarno fermentujące. Naum nie miał równego sobie w rozpoznawaniu ziarn sfermentowanych na stole, pokrytym pszenicą i w ugniataniu ciasta, jak gdyby był piekarzem. Jeżeli spotkał jakiegoś rabina, godnego dyskusowania z nim, natychmiast wszczynał na byle jaki temat dysputę talmudyczną, z której zawsze wychodził zwycięzcą. Jeżeli miał do czynienia tylko z biednymi nieukami, rozśmieszał ich do łez, opowiadając te żarty żydowskie, w których wyśmiewamy się sami z siebie z takim brakiem pobłażliwości, my, którzy się czujemy jakoby żywcem paleni, skoro tylko jakiś nieżyd mówi o nas... Ja bywałem chazenem, ponieważ miałem ładniejszy głos od niego, lecz Jonathan zato górował w kazaniach. Jakżeż był piękny mój Jonathan, kiedy, stojąc na almenorze\*, wykrzykiwał: „Płaczcie, Żydzi! Nigdy nie starczy płaczu w tym świętym dniu, by zmyć wszystkie wasze grzechy! Przyczyną wszystkich waszych nieszczęść są wasze kobiety, które niedosyć się troszczą o prawo boskie. One zrzuciły z głowy czepki z koronek i nie mają wstydu zastępować je peruką z włosia końskiego!

---

\* Estrada, która się wznosi pośrodku bóżnicy.

Bóg im daje światło, a one za ledwie oddają Bogu światło świec w piątek! Ażeby uczcić imię Pana, wyrzekliśmy się tysiąca rzeczy, które są rozkoszą dla innych narodów, lecz wkrótce będziemy zmuszeni wyrzec się chleba, który pieką, ponieważ w skąpstwie swem uchylają się one od wrzucania w ogień dziesięciny, którą winniśmy Bogu! Biada wam, kobiety żydowskie, ponieważ wydajecie dzieci na świat, a nie wychowujecie ich wcale. Płaczcie, ponieważ nie znacie nieszczęść, które was czekają. Płaczcie, ponieważ życie człowieka jest podobne do zegara. On chodzi, chodzi, lecz pewnego dnia, budząc się, spostrzegacie, że więcej nie chodzi!“...

W drodze wszystko się zmieniało. Skoro tylko byliśmy poza miasteczkiem, Jonathan-Dandys, karciciel grzechów, zdejmował z szyi szal, który każdy nabożny Żyd powinien nosić, i wyciągał ze swojej sakwy modlitewnej krawat i kołnierz krochmalony. Ach, gdyby Reb Szapse go widział, albo, gdyby Wiekuisty przypadkowo skierował wzrok na niego, jakimż uderzeniem piorunu byłby go zdruzgotał! Szczęściem, rabbi był daleko w jeszybocie w Szuranie, a Wiekuisty, nie podejrzewając tych dwóch bocherów w podróży, pozwalał



nam błędzić po drogach i zajmował się czemś innym.

Dandys wyciągał więc ze swojej sakwy modlitewnej sławetny kołnierz brudny i krawat o czerwonych punktach, który mam jeszcze przed oczyma. W opustoszałym polu doznawał satysfakcji, która mnie zbijała z tropu i nakazywała mi we wszystkim naśladować tę elegancję bezbożną. Kiedy zbliżyliśmy się do domów, z żalem rozwiązywał swój krawat, zdejmował kołnierz i wpychał wszystko głęboko do sakwy modlitewnej pod taśes żółtkły, odziedziczony po rodzicach, i pod paski rzemienne. Widząc, jak miesza kołnierz i krawat ze staremi, pobożnymi rzeczami, nie mogłem, mimo mojej przyjaźni dla niego, obronić się od myśli o nicponiu Słowaku, który w obecności wuja Zalmego rzucił u stóp krzyża uprząż, przesyconą potem...

Gdyby w sakwie modlitewnej znajdował się tylko kołnierz i krawat, lecz było tam jeszcze coś innego! Była tam gazeta brudna, złożona w czworo i drukowana literami hebrajskimi, na której pewnego dnia, w ukryciu, mogłem zobaczyć portrety dziwaczne Żydów w surdutach albo w marynarkach; i oni również nosili kołnierze i krawaty. Co to była za gazeta? Kto byli ci Żydzi? Co oni

mieli do czynienia w sakwie z rzemieniami i ta-  
lesem? Coś się we mnie opierało, by zapytać  
Dandysa. Pewnego dnia ośmieliłem się jednak  
zadać mu kilka pytań. Odpowiedział mi prosto,  
z tą miną sarkastyczną, którą często u niego  
widziałem i która mnie trochę przestraszała:

— Napisane jest na tym papierze, że ja je-  
stem głupcem, że ty jesteś głupcem, że Krupna  
Zupa i wszystkie Małpie Ramiona z waszego jeszy-  
botu są również głupcami i zapamiętaj to do-  
brze, największym głupcem z was wszystkich jest  
Reb Szapse!

Zwinąwszy starannie swoją gazetę, włożył ją  
zpowrotem do sakwy.

Och, Jonathanie, jakżeś mnie oszukał! Pew-  
nego rana, będąc u końca naszej podróży, obu-  
dziwszy się na słomie w jakiejś stodole, oglądałem  
się dokoła siebie. Jonathan znikł. Myślałem, że  
wróci, ale napróżno go oczekiwałem. On sobie  
poszedł, unosząc cały nasz majątek, uciulany ra-  
zem, ponieważ, czyż koniecznym jest powiedzieć,  
że był naszym skarbnikiem? Wszystkiego mi za-  
brakło naraz. Straciłem przyjaciela i moje pienią-  
dze, lecz myślałem tylko o moim przyjacielu.  
Czegóż można się było spodziewać po Żydzie,  
który wkładał kołnierz? Jak Słowak, mówiłem

sobie, on postąpił jak Słowak! Pan Bóg mnie ostrzegł i trzeba było zrobić to, co wuj Zalme...

Niewątpliwie Dandys myślał, że lepiej zużyje te pieniądze ode mnie, i że nowy chałat na jego plecach będzie lepiej wyglądał, niż na moich. Nie wątpiłem również, że dzięki naszemu skarbowi, zebranemu w Paschę, on nie omieszka kupić sobie jeszcze jeden krawat i kołnierz.

Z opuszczoną głową wróciłem do Szuranu, równie biedny, jak przed odejściem. Nie miałem nawet za co kupić pary nowych butów i w dodatku odczuwałem świerzb, którym mnie Dandys zaraził. Ale świerzb nigdy nie żenował ucznia talmudu. U Reb Szapsy wszyscy urządzali się nadzwyczaj dobrze, a że się ktoś drapie, tu czy ówdzie, z takiej czy innej przyczyny, to nie ma znaczenia. Ponieważ ma się być i tak zjedzonym przez robactwo, czy to będzie przez świerzb, czy pchły albo wszy, to wszystko jedno, jak twierdzi przysłowie w żargonie.

Opowiedziałem moje zajście, i jeżeli chciałem wzbudzić współczucie u moich towarzyszy, to obrałem mylną drogę. Nieuczciwość Dandysa uchodziła za dobry żart i Fuks Karzeł, który miał całą złość, jaką biedna, rachityczna

istota może mieć do kogoś tak eleganckiego, rzekł swoim głosem grzechotki:

— Mój drogi, to jest wielki cud! Znasz przysłowie: niebo daje, lecz nigdy nie odbiera, a tobie widzisz, niebo odebrało.

## ROZDZIAŁ II.

Nie było w naszym zwyczaju zostawać długo u jednego i tego samego rabina. My Żydzi, mamy usposobienie zmienne i sam Talmud nam mówi: „Jeżeli uczyłeś się u jednego mistrza, nie mów: to dosyć. Szukaj zatem innego“. U tego drugiego znajdowaliśmy tę samą naukę, którą porzuciliśmy, te same maksymy, te same przykłady, te same rozumowania, które posuwały się, cofały, i wikały w sposób nieprzewidziany i dziwny, jak figury gry szachowej.

Ach tak, wiedzieliśmy dobrze, że znajdziemy w Püspök Falwa to samo, co zostawiliśmy w Szuranie, lecz stary instynkt tułaczy był silniejszy od nas. My zostajemy zawsze koczownikami i zmieniamy miejsce, goniąc przed sobą nie owce i barany, lecz nieuchwytne stado naszych argumentów talmudycznych.

Niektórzy żywili również nadzieję spotkania przy jednym z tych stołów, gdzie „jedliśmy dnie“,

nie miłości, wielki Boże (miłość jest rzeczą, o której bocher nie myśli), lecz jakiejś Estery, albo Lei, jakiejś Fradeli, którą jej ojciec chętnie odda za żonę młodemu opiekunowi Tory, ażeby uświęcić swój dom. Kojarzenia takie często się zdarzały, albowiem nie brak córek w domach Izraela, a bocher jest zięciem poszukiwanym. Z bochera można wszystko zrobić, takie jest u nas przysłowie.

Wszyscy więc udawali się do Püspök, albo gdzie indziej, i ja również postanowiłem pewnego dnia udać się tam. Dwa lata minęły, jak rozpocząłem naukę u Reb Szapsy, i jak zacząłem spostrzegać, że historia wołu muad wracała trochę za często. Skończyłem moje terminowanie, pałałem żądzą pogłębienia mojej wiedzy w innym jeszybocie i czekałem tylko, kiedy Reb Kolin pojedzie w te okolice, by udać się w drogę.

Jak tylko okazja się zdarzyła, poszedłem do rabina, by pożegnać się i wziąć świadectwo, które, na podobieństwo listu ambasadora, miało mi zjednać zaufanie u rabina z Püspök. Zostałem rabina grającego w szachy z Małpiami Ramionami. To jest gra zakazana, albowiem król, królowa, oficer i koń, są rzeczami obrazowymi, a te figurki niewinne dźwigają na sobie klątwę, którą Mojżesz rzucił na posągi bożyszcz. Lecz niedarmo się jest tal-

mudystą i Reb Szapse, uniesiony swoją namiętnością, usuwał trudności, zastępując figury szachowe monetami. Powiecie mi, że na tych monetach były również obrazy, orły, korony, portrety królów i królowych, lecz te obrazy musimy akceptować, ponieważ znajdują się na monetach, których używamy codziennie. Nie, Reb Szapse nie grzeszył, posuwając pieniądz po kwadratach białych i czarnych.

Moje wejście przerwało grę. Podczas gdy Małpie Ramiona przygotowywał moje świadectwo, Reb Szapse wygłosił o rabinie z Püspök kilka słów przesadnej pochwały i pewną liczbę aforyzmów, których używał zwykle w podobnych wypadkach. „Współzawodnictwo uczonych pomnaża wiedzę... Jeżeli ktoś nie przebywał z uczonymi, choć studiował prawo pisane i ustne, to w rzeczywistości nigdy nie będzie uchodził za wykształconego... Jeżeliś nie szukał wiedzy za młodu, jak będziesz mógł ją przyjmować na starość?“... i t. p. Następnie, podpisawszy świadectwo, dał mi swoje błogosławieństwo i pozwolił mi odejść z tą samą obojętnością, jak gdyby był przegrał pionek.

Małpie Ramiona towarzyszył mi aż do sieni: Reb, rzekł, wzdychając, ty również odchodzisz! Masz szczęście, Jakóbie, że Bóg cię stworzył inte-

ligentnym. Ja jestem zdolny tylko do tego, by zagrać partję z rabinem“.

Nieszczęśliwy chłopiec przynosił co rano w swoich ramionach na stół rabina ciężar wiedzy hebrajskiej, a nie mógł nic umieścić w swojej głowie. Opuścił wzdłuż ciała swe długie ramiona bezużyteczne, podobne do pary obcęgów. Niema nawet kogo spoliczkować! Byliśmy sami w dwójkę. Wyznaję ze wstydem, że odczuwałem więcej dumy z pochwały, niż żalu dla jego skargi. Dopiero trzydzieści lat później, doprawdy trochę za późno, odczuwam smutek pożegnania tego biednego chłopca, odnajdując go przypadkowo, jak i to drzewo zakurzone, które zamiatało dach rabina samego, w ruinach dni przeszłych.

Teraz, siedząc na baraniej skórce w wózku Reb Kolina, przejeżdżamy wielką ulicę miasteczka, kłusem tych sławnych koni, które miały go odstawić z szybkością błyskawicy w dniu nadejścia Mesjasza do Szuranu. Nie byłem już tem dzieckiem, zarazem śmiałem i bojaźliwym, które dwa lata temu przeszukiwało w kurzu dnia letniego domy żydowskie. Czułem, że stałem się osobistością. Czyż nie nosiłem ze sobą skarbu Reb Szapsy? Czego najbardziej żałowałem, to nie jeszybotu, ponieważ wiedziałem, że u celu podróży znajdę



innego Reb Szapsę, jeszcze bardziej zadziwiającego. Nie żałowałem również Babele, która nie stała się bardziej życzliwa (co zresztą nie miałoby żadnego znaczenia), i która (to było gorsze) nie polepszyła wcale swej kuchni. Nie żałowałem moich towarzyszy, po większej części nowoprzybyłych, i miałem nauczkę, ażeby się strzec przyjacieli. To, czego najbardziej żałowałem, było właśnie to, co wydawało mi się najstraszniejszym po moim przybyciu do Szuranu: sławna droga piątkowa, moje państwo żebracze.

Nie utraciłem wszystkiego wraz z utratą Jonathana. Przedewszystkiem przywłaszczyłem sobie największą część jego dóbr, a następnie, dzięki tournée paschowemu, skorzystałem z jego lekcji. Teraz ja rozśmieszałem ludzi żartami, których nauczyłem się od niego i zapamiętanymi cytatami jego kazań; teraz ja ciskałem na kobiety wątpliwość zbawienia, jeżeli nie były hojne, ja to obecnie przynosiłem w swojej sakwie szmalec gęsi i kukurydzę. Gdybym był został w Szuranie dłużej, niż zwyczaj każe, czyż śmiałybym się przyznać, że jedynie poto, by napełnić się nauką Reb Szapsy?

Wyjechaliśmy z miasteczka, i konie, krocząc, zbliżały się do pól.

— Wy znacie drogę, Reb Natanie? — zapytałem byłego mistrza chederu, aby coś rzec. Wiedziałem przecież, że on tę drogę przejechał nieskończoną ilość razy.

— Ech, — odpowiedział mi ze swoim zwykłym krasomówstwem. — Kiedy Żydzi wędrowali po pustyni, czyż znali drogę? Bóg nas poprowadzi, mój synu!

Reb Natan drogę znał bardzo dobrze, i czyż mam żałować, że nie zużyliśmy czterdziestu lat, jak Żydzi w pustyni, nim przybyliśmy do Püspök?

W Püspök zdarzył się wypadek, który, zdaje mi się, miał największy wpływ na moje życie. Nic zresztą nowego; to jest coś bardzo podobnego, zachowawszy wszystkie proporcje, do historii Adama i Ewy w raju ziemskim. Wprawdzie, w moim wypadku, na nieszczęście niema kobiety, lecz jest drzewo wiedzy i wąż w okularach.

Udałem się pewnego dnia, bardzo wczesnie, na moje *tournée* piątkowe, które rozpoczęło się nadzwyczaj dobrze. Jakiś szewc, odkupując tego dnia od Wiekuistego swego pierworodnego, (zamiast złożyć go w ofierze, jak za czasów Abrahama), dał mi florena. Ten floren, znajdujący się w mojej

kieszeni, pozwolił mi odkryć, że powietrze było lekkie, że akacje kwitły, a nawet, że w rzeczach, które nie rozumują, może być radość i szczęście. W takich to momentach, kiedy bogactwo was upaja i każe widzieć rzeczy naodwrot, w podobnych chwilach dwadzieścia tysięcy demonów, które się ma po lewicy, zaczynają wam szeptać do ucha, by was poprowadzić do grzechu. Demony te właśnie popchnęły mnie tego rana do jednego z tych drzew akacji, które od czasu do czasu przerywają jednostajność płaszczyzny, i których widok jest świeży i zachęcający do odpoczynku, w tych długich dniach letnich, kiedy się widzi drgające mamidło, jak na horyzoncie w pustyni.

Znalazszy się w cieniu, ujrzałem u stóp drzewa jakąś książkę i koszyk z jedzeniem. Usiadłem i otworzyłem książkę. Dyskrecja nie jest naszą cnotą. Książka była pisana po niemiecku. Nie znałem tego języka. Znałem tylko węgierski, hebrajski i żydowski, tę starą gwara frankońską<sup>1</sup>, którą zmieszaliśmy z hebrajskim, aramejskim, hiszpańskim, węgierskim, polskim, rosyjskim, naszym całym zresztą wygnaniem; dziwaczny amal-

---

<sup>1</sup> stara gwara bawarska (przyp. tłum.).

gamat, odzwierciedlający nasze życie tułacze, kombinacja barokowa, która wyszła z naszego umysłu, jak tyle innych rzeczy. Zresztą, ta książka niemiecka, gdyby nawet była dla mnie zrozumiała, nie mogła zawiązać w moich oczach żadnej myśli inteligentnej. Poza Prawem i jego Komentarzem, żadna nauka nie istniała dla mnie, i miałem tyleż wzdury dla wiedzy, którą wpajano w ucznia chrześcijańskiego, co i dla pokarmu, który nie był przyprawiony według rytuału, a który on spożywał. Odczuwałem jednak pewien zawód przed tą książką nieczytelną i przewracałem stronicę za stronicą, szukając, czy nie znajdę kilku znaków hebrajskich pośród tego charakteru pisma nieznanego, gdy wtem, jakaś ręka spoczęła na mojem ramieniu:

— I cóż, mały żydku, to, co czytasz, zajmuje cię?

Człowiek, który w ten sposób się do mnie zwracał, mógł mieć około czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Widocznie był chrześcijaninem, bo nosił marynarkę alpagową i kapelusz słomkowy. Dowiedziałem się później, że był profesorem w Budapeszcie, i że spędzał wakacje w sąsiednim miasteczku. Położyłem książkę i z mieszaniną dumy i zakłopotania powiedziałem, że jestem

uczniem jeszybotu i że nie znam niemieckiego.

— Słuchaj więc — rzekł.

Otworzył tom poezji i przetłumaczył na węgierski słynny poemat Goethego, który zaczyna się od tych słów:

„Kto jedzie tak późno przez noc, przez wiatr!”

Mam jeszcze w uszach ton przenikliwy jego głosu, którym mi czytał poemat: „Król elfów“, gdzie Goethe wyraził na sposób ludzi północy coś w rodzaju muzyki cygańskiej, co sięga dalej, niż myśl. Przypominam sobie również bardzo dobrze, kiedy skończywszy poemat, cały w zdumieniu, że można pisać o rzeczach tak dziwnych, poza tem, czego mnie nauczono, i chcąc zabłysnąć moim umysłem, rzuciłem się natychmiast na pierwsze zdanie poematu, jak na tekst Talmudu.

— Przepraszam — rzekłem, jakbym powiedział do rabina, — autor nas pyta: kto jedzie tak późno na deszczu i na wietrze? Poco to pytanie? Ono jest zupełnie zbyteczne. Jeżeli on tego nie wie, nie ja mu to powiem, a jeżeli wie, to poco się pyta?

Człowiek w słomkowym kapeluszu podniósł na mnie wzrok osłupiały i wybuchnął śmiechem,

który mnie zmieszał ogromnie. Nie starając się już więcej objaśnić mi Króla elfów, zamknął książkę i zaczął się wypytywać, czego nauczą w naszym jeszybocie. Nad wyraz szczęśliwy, że mogę się zrewanżować, wykazując mu moją wiedzę, przytłaczałem go ciężarem komentarzy Talmudu, stanowiących nasz pokarm. On, słuchając, nie przestawał patrzeć na mnie z wyrazem zdziwienia, który przyjąłem jako dowód zachwytu. Takiego dziecka, jak ja, nie spotkał chyba jeszcze w swojej karierze pedagogicznej!

— Zaiste, bocher — rzekł mi — umiesz dużo rzeczy, lecz, odpowiedz mi, czy znasz nazwy dwóch dużych rzek, które przepływają przez Węgry?

— Co się tyczy rzek, znałem tylko Jordan i Eufrat.

— Tak, — mówił dalej, — znasz dużo rzeczy takich, których nie znam i nigdy nie będę znał i jeszcze wiele innych, które poznałem między osiemnastym a dziewiętnastym rokiem życia, lecz, kiedy ty będziesz w moim wieku, jeszcze nie będziesz umiał tego, co ja już umiałem, mając siedem lat.

Wydało mi się to obrazą i zrobiłem ruch, jakbym chciał odejść. Lecz dwadzieścia tysięcy

demonów ciążyło wciąż na mojem ramieniu i nie pozwalało mi wstać i pod cieniem akacji wciąż słuchałem kuszenia węża w okularach, który mi mówił, że świat już nie jest ten sam, co za czasów, kiedy Eufrat płynął pod wzrokiem Ezechiela i kiedy brzegi Jordanu rozbrzmiewały harfą Dawida. Mówił, że nie gardzi rzeczami, których mnie nauczone, albowiem żadną nauką nie należy pogardzać, lecz istnieją przytem inne, które są korzystniejsze dla umysłu i serca i że mała książka, którą trzymał w ręku, zawiera większe skarby, niż cały stos, którym nabito mi mózg.

Czas upływał. Zostały mi jeszcze trzy miasteczka do zwiedzenia i przed siódmą miałem być zpowrotem w Püspök na modlitwie wieczornej. Spieszyłem się, by umknąć, ponieważ miałem uczucie grzechu popełnionego pod tą zdradziecką akacją i jednocześnie miałem chęć słuchać i słuchać jeszcze tych słów kuszących, które mi mówiły o rzeczach nieznanych. Wstałem wreszcie, by odejść.

— Dokąd idziesz? — zapytał Wąż.

— Żebrać, — odrzekłem prosto, jak gdyby on musiał znać ten przywilej mego stanu.

Popchnięty tą nieodporną chęcią posiadania tej małej książki, która, jeśli wierzyć Wężowi, miała

zawierać tyle bogactw, wydobyłem z kieszeni otrzymanego rano od szewca florena, którym chciał odkupić swego pierworodnego i poprosiłem, ażeby mi sprzedał ten tomik.

— Poco? — rzekł, — przecież nie znasz niemieckiego.

— Poznam go szybko, — zapewniłem go z tą dumą ucznia talmudu, który wie dobrze, że jeżeli idzie o nauczenie się czegoś, wtedy niema dlań nic niemożliwego.

— Nie wystarczy, bocherze, umieć czytać, by zrozumieć — i dodał, że w przyszły piątek, jeżeli przejdę obok tego drzewa podczas mego tournée, zastanę go napewno.

Młoda dziewczyna, która jest ciekawa i która odczuwa, jak to się mówi w powieściach, strach przed miłością, oto przypuszczam, jedyny obraz, mogący dać wyobrażenie o moim stanie niepewności i zachwyty, w jakim spędziłem cały tydzień. Bezustannie umysł mój wracał do małego lasku akacyj. Nucąc tekst Talmudu, marzyłem o jakiejś wiedzy nieznaney, ubranej w kapelusz słomkowy i w marynarkę alpagową, i przeświadczony o tem, że następnego piątku znów tam wrócę, odczuwałem słodkie udręczenie w stawianiu sobie pytania,



czy pójdę tego dnia pod drzewo wiedzy odnaleźć Węża w okularach.

Oczywiście, w piątek znów byłem w lasku. Człowiek w słomkowym kapeluszu już tam był ze swoją flaszką, koszykiem z prowiantami i z książkami. Słowem ze wszystkimi utensyljami grzechu. Powiedziałem mu dzień dobry, jak się wita starego znajomego i usiadłem obok niego, jak się siada obok starego grzechu powszedniego.

Rozpocząłem od kłamstwa.

— Ile zarabiasz na jałmużnie? — zapytał mnie profesor.

Odpowiedziałem, że trzy floreny, a to było mocno przesadzone, ponieważ moje dobra w Püspök były znacznie mniejsze od mojego państwa w Szuranie i zbierałem zaledwie dwa floreny przez dzień.

— Dobrze, — rzekł, — na dziś nie kłopotz się o nic, ja ci dam te kilka florenów.

Obecnie zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jego serce pedagoga radowało się na myśl odezwania mnie od ciemności i oswojenia potrochu tego inteligentnego, młodego bydłęcia.

Tym razem przyniósł książkę, pisaną w języku węgierskim. Byłem jeszcze więcej zdziwiony, niż ostatnim razem, kiedy mi powiedział, że człowiek, który napisał to dzieło, był żydem, jak i ja.

Przypuszczałem, że żyd może pisać tylko w języku żydowskim, albo w starym, świętym języku.

— Nie mówi się więc nigdy u was o Heinrichu Heinem?

— Nie, ja nigdy nie słyszałem o tym rabinie. — Ta odpowiedź pobudziła go do śmiechu, choć nie rozumiałem, z jakiego powodu.

— Ach, ty nie znasz tego rabina. Otóż, bocherze, niema dużo takich ludzi, którzyby przynosili więcęj honoru Izraelowi.

Następnie przeczytał mi urywek z jego książki, tak samo, jak to zrobił ostatnim razem z poematem Króla elfów. Wszyscy chyba znacie ten urywek. To jest poemat Sabatu, poezja tego, co widziałem każdej soboty, a czego nie odczuwałem wcale. Oczywiście, cały czar ducha tej poezji wymykał mi się. Jakto, Żyd mówi o Żydach nie w języku praojców, lecz w innym! Wiedziano również i w innym języku o istnieniu soboty! To mąciło mi myśli.

Z wielkiem bogactwem słów, towarzysz mój opisał życie tego Reb Heinricha Heinego, który komponował wiersze niemieckie o Żydach, nie ignorując nic z soboty i stał się jednym z ludzi najbardziej znanych w literaturze światowej. Tak mówił profesor.

Ach, niowszystkie objawienia mają miejsce na Synaju! Dookoła nas znajdowała się równina, pokryta dojrzałym zbożem. Miejsce bez krzaków rozpalonych, bez błyskawic, bez piorunów, pod niebem najbardziej banalnie letniem; miejsce, wyróżniające się tylko tym małym laskiem akacyj, którego dziśbym już może nie odnalazł, ani rozpoznał, Synaj na równinie, w żółkniejącym zbożu i maku polnym. W tym ubogim cieniu spędziłem całe popołudnie, wchłaniając w siebie tę myśl, tak nową dla mnie, że wszędzie istnieją Żydzi, których imiona rozbrzmiewają po wszechświecie i którzy znają inne rzeczy, obce jeszybotom. Drżałem, jak te mgły, które na łąkach się łączą, to znów rozchodzą, i różne ciekawości zakazane rodziły się w moim umyśle i ciągnęły jednocześnie ku Zachodowi i Wschodowi. Na moje szczęście i nieszczęście, rzuciłem po raz pierwszy spojrzeniem na obce myśli. Pod temi drzewami sprzedałem duszę, zjadłem owoc zakazany. Mówię bez przenośni, bo mój przyjaciel, czy wróg (jak go nazwać dzisiaj?) miał z sobą w koszyku jedzenie, nieprzyprawione według rytuału, a ja podzieliłem z nim kolację. Piłem! Piłem wino, nietłoczone nogami żydowskiemi. Jadłem! Jadłem chleb, którego dziesięciny nie wrzucono do ognia. Ja-

dłem mięso jakiegoś zwierzęcia, którego rzezak nie zabił według rytuału. Krótko mówiąc, w przeciągu pół godziny popełniłem wszystkie świętokradztwa, złamałem wszystkie przykazania, które przez wiele, wiele wieków utrzymały Izraela nie-naruszonego wśród innych narodów.

Stanowczo, drzewa nigdy nie przyniosły szczęścia synom Abrahama i Jakóba! Czytaliście w Biblii o wszystkim, co się stało pod drzewami. Nic dobrego, przecież wiecie! Pod ich to świeżym cieniem święte kurtyzany Baala i Astarty przywabiały dla przyjemności dzieci Izraela i Judy. W kraju Chanaan drzewami zgubnymi były zielone łańcuchy lasów oliwnych i granatowców. Tutaj to były akacje, lecz i one okazały się nielepsze...

Kiedy wstałem, by wrócić do jeszybotu, mój towarzysz dał mi trzy floreny. Mając je już w ręku, poczułem wyrzut sumienia. Czyż mogłem przyjąć trzy floreny, kiedy moje tournée, nawet najbardziej obfite, przynosiły mi tylko dwa? Jakkolwiek przyszło mi to z trudnością, wyznałem mu jednak, czerwieniąc się, że nie powiedziałem mu całkowitej prawdy i zatrzymałem tylko dwa floreny. To jest jeden z gestów mego życia, z którego jestem najbardziej zadowolony.

Przychodziłem jeszcze przez trzy piątki pod rząd. Odkrywałem zdaleka jakiś żywy i nieznaną świat, a mój, w którym żyłem, zdawał się tracić swe kolory. Mimowoli wyrywały mi się z ust małe, nic nie znaczące słowa, którym raz na zawsze należałoby może skrócić szyję, te małe słówka: „Dlaczego? Jak?“ Z cierpliwością, jaką zwykle ma Duch Zła, albo zwyczajnie, z gorliwością pedagoga namiętnego, Wąż w okularach odpowiadał mi na pytania. Gramatyka, arytmetyka, fizyka, historia naturalna, wszystkie te nauki nieznanne, które robiły na mnie wrażenie zwierząt Apokalipsy, on je wszystkie łagodnie sprowadzał pod akacje i poufale kładł im rękę na plecach. A ja słuchałem go i patrzyłem, jak działał. Zdawało mi się, że go prawie rozumiem i wyobrażałem sobie, że następnym razem wszystkie ciemne jeszcze rzeczy stanowczo się rozjaśnią.

Po wakacjach stary Wąż wrócił do swego liceum, a ja nie ukazałem się więcej pod drzewami. Pięćdziesiąt tysięcy grzechów, drzewa szeliszczące, liście akacji, równina osłoneczniona, Goethe, Reb Heinrich Heine, arytmetyka i gramatyka, to wszystko zamknęło się dla mnie, jak wrota Edenu dla pierwszego człowieka. Teraz, daleko od tego lata, podczas mroźnych poranków,

kiedy w jeszybocie kilka przypadków barokowych wywołało te zwykłe burze i kiedy stało się jasne, że wiedza Reb Szapsy była tylko biedną świeczką obok światła rabina z Püspök, wtedy zdarzało się nagle, że umykałem przed tą wrzawą i zapomniałem, gdzie jestem, by myśleć o akacjach, o arytmetyce, gramatyce i o sławnym Reb Heinrichu Heinem, jak o raju straconym.

Nie po raz pierwszy to Izrael tak usiadł nad książką zakazaną. Byliśmy zawsze skłonni do zanurzania się z zapamiętałością w obcych myślach i przypuszczam, że Wiekuisty od czasów Mojżesza poddał nas tak ostremu *régime*'owi tylko dlatego, iż uważał nas za ruchliwych i bezustannie gotowych pójść za sąsiednimi narodami. Myśmy je wszystkie naśladowali, składaliśmy ofiary wszystkim ich bogom, klękaliśmy przed Makolmem i Kamoszem, przed Baalem i Belfegorem, przed Molochem i Astartą, przed Belzebubem, bogiem-szpiegiem, który ochraniał Filistynów, przed Dragonem o ciele pokrytem łuską i przed syreną Tiratą. Najmądrzejszy wśród nas, król Salomon, wznosił im świątynie i składał im ofiary, by sprawić przyjemność swoim żonom. Umieściliśmy własnemi rękoma na sanktuarjum Jahwy babilońską

tarczę Słońca. Jego rydwan i konie stały na dziedzińcu świątyni i podczas dni wielkich świąt prowadzono go po ulicach. Lecz ten wśród narodów, który nas najwięcej oczarował i którego przez to najbardziej nienawidziliśmy, to nie był Egipcjanin, ani Chanaańczyk, ani Babilończyk, ani nawet Rzymianin, który nas rozproszył na cztery strony świata. Nie o nich to się myśli, kiedy w ghecie chce się określić to, co jest najgorsze u Izraela, lecz o Żydzie, który przestaje przestrzegać z krańcową ścisłością wszystkich praktyk religijnych; o człowieku, który goli brodę, skraca pejsy i nie nosi stale na głowie czapki, ani jarmułki; o młodzieńcu, który latem siada pod akacjami, ażeby słuchać obcych myśli; my nie nazywamy takiego żyda Filistynem, Moabitą, lub Amalecytą, Nabuchodonozorem, Wespazjanem, lub Tytusem. Nazywamy go Epikurejczykiem, jak gdyby w tem słowie greckiem mieściło się całe zło świata, obcego Izraelowi. Po przeszło dwóch tysiącach lat zostało nam stale w myśli wspomnienie tych strasznych czasów, kiedy coś potężniejszego od siły rzymskiej groziło zniszczeniem naszemu genjuszowi; kiedy się widziało w Jerozolimie Żydów, wznoszących domy na wzór grecki, pokryte malowidłami; kiedy na górze Moria uro-

czyście obchodzono święto Bakchusa; i kiedy tańce, festyny, śpiewy, całe hulaszcze życie Greków zapanowało w Judei; kiedy widziało się samego wielkiego kapłana, jak zaniedbywał służbę dla gier atletycznych. Okropność! Czyż wyobrażacie sobie Reb Szapkę, zawieszono na trapezie?... To wszystko żyje ciągle w nas w ukryciu, jako wspomnienie rzeczy okropnych i skandalicznych, i stale prześladowuje ghetto temstarem słowem—straszydłem, fantomem, upiorem, słowem Epikurejczyk, które tak dziwacznie brzmi w ustach Żyda wiejskiego.

Niestety, byłem Epikurejczykiem, choć sobie tego jeszcze nie wyznałem, lecz rabin z Püspök bez żadnej ceremonji rozchwiał moją wątpliwość.

Był jeden dzień w roku, kiedy w naszych małych ulach talmudystycznych nic nie robiono, ale to nic, dosłownie nic, nawet nie modlono się; to był dzień Bożego Narodzenia. Pracować, znaczy modlić się. Modlić się, znaczy ściągnąć na wszystkie stworzenia, jakiekolwiek one były, zmarłe, żywe, albo rodzące się, błogosławieństwo Boże. Więc czyż byłoby rozsądnie ściągnąć w tym sławnym dniu błogosławieństwo Nieba na syna Izraela, który czynił swemu narodowi nieskończenie więcej zła, niż największy z Epikurejczy-



ków? Najlepiej jest zamilknąć w tym dniu, przerwać pracę świętą, zawiesić modlitwę, słowem, robić wszystko odwrotnie, niż to, co się robiło dotychczas. A ponieważ w innych dniach stonimy od gry, by pracować, w tym dniu opuszczamy pracę, by grać. Gramy w karty, — grę tę bardzo lubimy i uprawiamy ją podczas roku w tajemnicy, ponieważ jest zakazana.

Ja również lubiłem karty, jak wszyscy moi koledzy, lecz tego wieczoru nie zajmowały mnie one. Był w Püspök mały budynek, nazywany pompatycznie teatrem i niekiedy wędrująca trupa dawała tam przedstawienia. Żadna rzecz nie wydawała mi się tak godną pragnienia, jak wejście do tego budynku, ale nic również nie było tak ostro zakazane, jak to, nie dlatego, że z wysokości Synaju Bóg w swoim jasnowidzeniu zabronił nam tej rozrywki, ale że istnieje bardzo wiele przyczyn, by ją potępiano u nas. Jeżeli spojrzenie, rzucone na kobietę, zajętą praniem bielizny, już jest godne nagany, więc tem bardziej nie mamy prawa zatrzymać wzroku na stworzeniu, zajętem jedynie tem, by nas oczarować swoją twarzą i głosem. Następnie, któż mógłby wyzbyć się wszystkich starych wspomnień. Za czasów szczęśliwych, kiedyśmy kształtowali jeszcze naród, wła-

śnie dzięki tym teatrom, hipodromom i cyrkom, Epikurejczycy z Grecji i Rzymu spowodowali wśród nas zwyrodnienie. Temi to zabawami bezbożnymi starali się nas skusić, jak ongiś Moab i Amon swojemi kurtyzanami świętami. Wejść do tego małego budynku, oświetlonego złotem światłem, dokoła którego wirował śnieg, znaczyło popełnić jednocześnie grzech bezwstydnosci i odszczepieństwa. Zmieszać się z tym tłumem chrześcijańskim, którego unikamy starannie, siedzieć obok niego, podzielić jego przyjemności, było tem samem świętokradztwem, co spożywanie jego jedzenia. O tem wszyskiem wiedziałem bardzo dobrze, jak również o tem, że zwyczaj, choć nam pozwala w noc Bożego Narodzenia na wszelkie gry bezbożne, jednak stanowczo zabrania czynu tak karygodnego, jak pójście na widowisko. Oczywiście, że nie w tym dniu wyklętym, od którego chrześcijanie datują swoje powstanie, należało podzielić z nimi ich radości. Ale, cóż pomoże rozumowanie młodzieńcowi, który spędził tyle piątek pod akacją?

Tego więc wieczoru Bożego Narodzenia, od godziny siódmej do dziesiątej, zagubiony, przemoczony i ukryty w głębi sali, byłem obecny po raz pierwszy na przedstawieniu teatralnem. Po-

wiedzieć, że się nudziłem, byłoby niesłuszne. Nie mogłem tylko w żaden sposób zrozumieć, jak można interesować się tem. Grano pewnie coś komicznego, bo śmiechy wybuchały co chwila. Choć rozumiałem wszystkie słowa aktorów, ponieważ grali w języku węgierskim, jednak to, co mówili, było mi tak obce, że nie znajdowałem najmniejszego powodu do śmiechu. Ci mężczyźni i te kobiety, których widziałem na scenie, wychodzących i wracających, wydawali mi się wariatami, a na widok, jak stroją wszelakiego rodzaju grymasy i wykonują ruchy niezrozumiałe, serce we mnie się buntowało. Mówiłem sobie: „Tacy są chrześcijanie! takie są ich rozrywki!“ Opuściłem salę, rozczarowany, że po takim oczekiwaniu znalazłem tak mało zadowolenia i przyrzekłem sobie już więcej do niej nie wrócić, zakładając z całego serca straconej partji kart. Zawstydzony tem, co zrobiłem, marzyłem pod śniegiem, topniejącym na moim kaftanie, o dobrych żartach Dandysa, który bez teatru i bez sceny tak wspaniale umiał nas zabawić.

Nazajutrz, jak to było do przewidzenia, rabin z Püspök zawołał mnie do siebie. Nie omieszkało go poinformować o tem, jak spędziłem ten wieczór. Gdybym siebie był usłuchał, powie-

działbym mu zwyczajnie: „Nie gniewajcie się, Rabbi! Jestem dosyć ukarany. Nie znalazłem żadnego zadowolenia w rozrywkach chrześcijan. Niema nic tak obrzydliwego, jak widowisko, na którem byłem obecny. Oni nie dyskutują nad rzeczami mądrymi. To są głupcy i ich przyjemności są na psa...” Oto, co powinienem był powiedzieć, gdybym był szczerzy. Lecz w moim wieku myśl o szczerości względem rabina w Püspök nie przyszła mi do głowy. Chciałem się okazać świetnym oratorem, godnym rabina i Reb Szapsy, i zacząłem się bronić według wszelkich reguł dobrej dyskusji talmudystycznej.

Poślizgnąłem się odrazu przy argumentcie, że wszystko jest dozwolone w noc Bożego Narodzenia, bo o ile ta myśl wydawała mi się świetna, dopóki byłem sam, o tyle w obecności rabina zrozumiałem, co jest warta i wiedziałem, że jednym ruchem swojej małej zmarszczonej ręki rabin odrzuci ten argument; jak jakiś Reb Akiba w swoim czasie burzył hipodromy i cyrki.

— Rabbi, — powiadam, — dlaczego powinniśmy unikać przedstawień teatralnych? Dlatego, że napisano: „Słuchać mowę kobiet jest cudzołóstwem”. Więc, Rabbi, czyż wiemy, że aktorka była mężatką?

— Ona jest kobietą i to wystarczy — odparł rabin.

Zupełnie na czasie przypomniałem sobie przypadek kobiety trędowatej, który studjowałem w Talmudzie, i przytoczyłem go w całej rozciągłości:

— Mieć stosunki z kobietą trędowatą jest również przestępstwem, karanem śmiercią. Lecz trzeba rozróżnić. Jeżeli trędowata jest chrześcijanką, to ona jest zwierzęciem, więc już nie jest kobietą i niema grzechu w stosunkach z nią. Pozostaje przypadek, kiedy się obcowało z kobietą, która nie wzięła kąpieli oczyszczającej. Jeżeli zaś trędowata jest stara, to nie potrzebuje się oczyszczać, więc i w tym wypadku niema grzechu. Otóż kobieta, którą wczoraj widziałem w teatrze, była chrześcijanką i starą: nie zgrzeszyłem przeto, patrząc na nią.

— Ona jest kobietą, — powtórzył rabin, — a jeżeli niema cudzołóstwa, to jest zwyrodnienie.

— Niema mowy o cudzołóstwie, — odparłem z kolei. — Prawo mówi: „Jeżeli się ma stosunki z młodą dziewczyną, nie jest to przestępstwem pod warunkiem, że się zwraca cenę dziewictwa“. Rabbi, ja zapłaciłem za miejsce...

— Jesteś Epikurejczykiem. Nie rozpoczynaj, bo cię wyrzucę stąd!

Awantura mogłaby się gorzej skończyć.

Później dowiedziałem się, że sztuka, na której asystowałem, była wodewilem i że ten wodewil, który mi się wydawał wiernym obrazem życia chrześcijan, ponieważ czerpali tyle przyjemności z niego, był dziełem jednego z moich współwyznawców, który dostarczał tych lekkich komedijek wszystkim teatrom w Wiedniu.

Nikt nie zaprzecza, że nasz król Salomon był jednym z mistrzów rebusów, krzyżówek, zagadek, szarad i logogryfów. Królowa Saba, zaciekawiona jego rozgłosem, przybyła we własnej osobie ze swego kraju rodzinnego, nazywanego Krajem mędrców, specjalnie, by zadawać królowi zagadki. On sam posyłał królowi Tyru, swemu sąsiadowi, szarady, które układał. Rywalizacja umysłowa wywiązała się między tymi dwoma potężnymi władcami, ale nie grali oni tylko dla zabawy. Jeżeli Hiram źle zrozumiał jakiś rebus, to przegrywał las cedrowy... Ale, gdybym, jak Hiram, król Tyru, albo jak królowa Saba, zapytał Salomona, pod jakim względem tandeciarz albo biuro pocztowe jest niebezpieczniejsze dla bochera jeszybotu od chrześcijanina pod akacją lub teatru w Püspök, czyżby zgadł?

Rzecz jednak przedstawia się bardzo prosto.

Tego roku, podczas *tournée* paschowego, zapuściłem się aż do Marmaros, ażeby kupić sobie buty i chałat. Marmaros jest rynkiem w Karpatach, gdzie, Bogu dzięki, Żydów nie brak i tandeciarzy również nie. Było ich tylu, że aż człowiekowi się zachciało tych wszystkich sklepików, przed którymi huśtały się znoszone odzienia, spuścizny żydowskie i chrześcijańskie, pojednane w nędzy. Dlaczego wybrać tego tandeciarza, a nie tamtego? Wszędzie te same buty, te same podeszwy łatanne, te same cholewy sfałdowane, te same chałaty, okropnie zużyte. Wszedłem do pierwszego napotkanego tandeciarza. To był, zdaje mi się, fantast. Jeżeli chcesz mu wierzyć, to w jego sklepiku wszystko było oszałamiająco nowe, a Żydzi w Marmaros doprawdy jedyni na świecie! Oni nie wkładali dwa razy tego samego ubioru na swoje plecy, ani tych samych butów na nogi. Po pierwszej plamie, po pierwszym pyłku kurzu, ubrania i obuwia same przez się opuszczały plecy i nogi swych właścicieli, by przyfrunąć wprost do niego. Chałaty i buty zdawały się mieć skrzydła i słuchając go, było się skłonny spojrzeć w stronę drzwi, a nuż się zobaczy w powietrzu jednego z tych ptaków cudownych. Jednakże, przechodząc

przez miasto, bynajmniej nie zauważyłem, by moi współwyznawcy byli bardziej czystszy, niż w Püspök, albo gdzie indziej, by chałaty były świeższe, czapki i jarmułki mniej zatłuszczone, a buty bardziej błyszczące. Ale niewątpliwie źle widziałem. Młody przechodzień nie może znać wszystkiego, co zna stary tandeciarz. Najprawdopodobniej w sklepiku również źle widziałem, ponieważ buty, które pocziwiec trzymał za uszy na wysokości moich oczu, i które kazał mi podziwiać, jakby to zrobił z parą gołębi, otóż te buty zdawały mi się mieć te same fałdy stroskane, te same wspomnienia podróży, co wszystkie inne buty, do których dane mi było się zbliżyć, te same kształty, te same piętna, słowem, paszport konieczny dla przekroczenia jaskini tandeciarza. Co się tyczy chałatów, które mi pokazywał, można było odtworzyć ich dzieje podług ich plam. Były takie, na których odkrywało się tylko plamy świątobliwości, jeżeli plamami można nazywać święte krople wina, które w dniu sabatu, podczas błogosławieństwa, spływały z nadmiernie napełnionej szklanki, albo łzę woskową, która wam spada podczas modlitwy na plecy, z wysokości skrzyni do świec, albo kurz, zmieszany z wodą do obmycia rąk, albo wapnem zabrudzone



plecy, które długo ocierały mury synagogi... Były jeszcze inne chałaty, na których plamy i zdarcia, możliwe tylko w życiu świeckim, zastępowały nadto jaskrawo dowody życia pobożnego. Lecz jedne, jak drugie, miały górną butonierkę przedartą i to świadczyło, że ich dawni właściciele stracili, niestety, kogoś bliskiego, żonę, albo syna ukochanego<sup>1</sup>.

Gdybym był rozsądny, wybrałbym z pośród wszystkich tych chałatów taki, który należał kiedyś do człowieka pobożnego. To przyniosłoby mi szczęście. Lecz nie zrobiłem tego. Uczyniłem tak, jak postąpiłby Dandys na mojem miejscu. Staralem się wybrać chałat najmniej zaplamiony i najmniej zniszczony. Po takim wyborze jak tu się dziwić, że to była właśnie dawna własność Żyda również nicwartego, chałat Epikurejczyka. Zauważyłem to, gdy go już miałem na moich plecach.

Opuściłem sklepik i nie bez zadowolenia brałem w posiadanie mój nowy ubiór, to znaczy, przeszukiwałem kieszenie, gdy nagle wśród kurzu tabaki do wąchania, zmieszanej z włosami brody, co świadczyło o tem, że dawny właściciel chałatu miał zmysł medytacyjny, znalazłem jakąś zżółkłą

---

<sup>1</sup> Przerzywa się butonierkę na znak żałoby. (*Przyp. tłum.*).

gazetę, zwiniętą we czworo, którą serce moje rozpoznało, jeżeli tak rzec mogę, wcześniej, niż oczy. To była ta sama gazeta, zupełnie ta sama gazeta, którą Dandys ongiś wyciągał ze swojej sakwy modlitewnej wraz z kołnierzem i krawatem, pod tym samym tytułem; „Róża Saronu“. Ten sam druk hebrajski, te same portrety Żydów, ubranych w surduty i marynarki i jak gdyby Dandys we własnej osobie chodził obok mnie, tak zdawało mi się, że słyszę, jak mówi swoim głosem sarkastycznym: „Ja jestem głupcem, ty jesteś głupcem, Krupna Zupa i wszystkie Małpie Ramiona są jeszcze głupszy od nas, i zapamiętaj to dobrze: najgłupszy zaś jest Reb Szapse!“

Żywo złożyłem gazetę, jak się składa grzech, by go włożyć do kieszeni, i pośpieszyłem ulicą, na której moi współwyznawcy, oczekując szczęścia przed drzwiami swoich sklepików, przenikali każdego przechodnia i obliczali w mgnieniu oka, ile pieniędzy ma, albo niema w swojej kieszeni, jakie uczucia kryje w swoim sercu i ile wszy w brodzie. Zdawało mi się, że te wszystkie oczy przedziurawiały materiał mego chałatu, że tworzyły wzdłuż ulicy aleję spojrzeń, z której nigdy nie wydam się, by dosyć szybko znaleźć się na pełnym polu, by przeniknąć tę tajemnicę,

by wiedzieć nareszcie, co było w gazecie Dan-  
dysa.

Moje nowe buty, przepraszam, moje staro-  
nowe buty, po kilku krokach wyprowadziły mnie  
z miasta. Dokoła mnie nie było nikogo, by mnie  
sądził, chyba tylko sam Bóg, lecz On tak daleko  
w niebie! Wydobyłem z nowego chałatu, ze staro-  
nowego chałatu, tę sławną gazetę i widzę jeszcze  
siebie czytającego „Różę Saronu“, pośrodku drogi,  
chudego i długiego, jak tyka, w za szerokim cha-  
łacie, który fruwał na moich plecach, podobnego  
do jakiegoś straszidła, dokoła którego krążyły  
wszelkiego rodzaju ptaki nieznane. Nieznane?  
Niezupełnie! To, co czytałem teraz w tym małym  
dzienniku hebrajskim, już słyszałem ongiś. To  
było prawie słowo w słowo to samo, co mi kie-  
dyś jeden chrześcijanin powiedział pod drzewami  
równiny. Lecz dzisiaj tę samą lekcję powtarzali  
mi Żydzi. Żydzi, nie mogłem wątpić wcale.  
Wszystko świadczyło o tem, ich twarze i uczucia.  
Widziało się, że pałali wielką miłością ku Izrae-  
lowi, ponieważ bezustannie mówili o odbudowie  
Jerozolimy i o odrodzeniu języka hebrajskiego  
w całym jego blasku. Lecz, ażeby osiągnąć to,  
twierdzili, że należy wyjść z ghetta, należy brać  
udział w życiu świata całego, przestać być żywem

trupami. Jeden z tych Żydów, ledwo do takiego podobny, a którego portret widziałem w gazecie, opowiadał, że stracił swoje życie w jeszybotach, na studjowaniu rzeczy, nikomu niepotrzebnych, ani jemu, ani innym, że jego umysł jest teraz podobny do rozdartego arkusza papieru, na którym już nic więcej pisać nie można, i że, robiąc bilans swego życia, po tylu latach mozolnych studjów nad problemami Talmudu, pozostaje mu tylko podkreślić to wszystko i postawić jako rezultat: zero. Był tam również mały wiersz, treści następującej:

O stare drzewo Izraela, jeszcze pełne mocy i życia,  
Co to za zmurszałe gniazda średniowiecza, pełne pajęczyny,  
Zwisają z twych gałęzi?  
One przynoszą wstyd Izraelowi.  
Ach, znam je dobrze i strącę je,  
Te strare gniazda jeszybotów!...

• Wszystkie te rzeczy czyniły hałas burzliwy dokoła mej głowy. Przeczytałem wszystko jednym tchem, a teraz odczytywałem to jeszcze raz, zastanawiając się nad każdym słowem, jakoby każde oddzielnie zawierało jakiś sekret!... Nieznane ptaki nie bały się mnie więcej, ani ja ich. „Wstyd Izraela! — myślałem sobie, — Ja jestem wstydem dla Izraela! Oto, co twierdzą Żydzi, którzy prowadzili

to samo życie, co ja!“ Nie wydawało mi się to nonsensem, a głos Dandysa ciągle powtarzał we mnie ten refren: „Ja jestem głupcem, ty jesteś głupcem i t. d.“ Skończyło się na tem, że postąpiłem zupełnie, jak Dandys, złożyłem gazetę i wsunąłem ją do sakwy modlitewnej pod paski i taśes.

Kiedy tylko przybyłem do Homony, gdzie znajdował się jeszybot, do którego miałem obecnie uczęszczać, mojem pierwszym zadaniem było pójść na pocztę i zaabonować grzech, to znaczy Różę Saronu. Oto Salomonie, królu mądrych i rabusiów, jak tandeciarz z Karpat i biuro pocztowe mogą przy okazji zawierać więcej niebezpiecznych czarów, niż jakiś chrześcijanin pod akacją, albo teatr w Püspök.

Ze wszystkich rabinów, jakich znałem, Rabbi Eleazar z Homony jest może jedynym, który miał w sobie coś, co można nazwać łagodnością. To, co uderzało w pierwszym rzędzie, to wyraz wielkiej dobroci i melancholji, rozlanej po jego twarzy. Rabbi Eleazar uważał, przypuszczam, że dźwiga na sobie smutek całej ludzkości i jego pesymizm nie wypływał ze specjalnej znajomości ludzi i świata (Rabbi Eleazar nigdy nie opuszczał swego miasteczka), lecz spoglądał na rzeczy po-

przez proroków najbardziej posępnych, Eliego, Ezechjela i Jeremjasza. Poza godzinami lekcyj, wyrażał swe chęci tylko zapomocą gestów, albowiem mowa ludzka dana nam jest jedynie poto, by wielbić Boga. Nigdy jeszcze nikt nie widział go śmiejącego się. Niekiedy ukazywał się uśmiech na jego wargach, ale tak daleki, tak zagubiony w białym zaroście jego brody, że ten, kto go widział, był raczej zasmucony, niż rozweselony. Był on dość bogaty i nie znosił, by jego uczniowie nie jadaliby do syta, — to nas wyróżniało od innych jeszybotów, gdzieśmy głodowali częściej, niż jedli. Co sobotę zbierał nas dookoła stołu obficie zastawionego, i widząc, jak rzucamy się żarłocznie na półmiski, odzywał się głosem zdziwionym i żalnym: „Jesteście zwierzętami!“

Był on kabalistą. Podczas lekcji zostawiał suchą kazuistykę uczonych talmudystów i opuszczał ziemię, by się wznieść ku wyżynom nieba. Widziało się wtedy rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia przed przybyciem do niego. Rzeczy te, choć niebardzo jasne, miały jednak dla nas powab tajemniczości i nowości. Nasz wielki przodek Mojżesz byłby bardzo zdziwiony, gdyby słyszał, jak Rabbi Eleazar zamienia w symbole zdania najbardziej proste, jak doszukuje się znaczenia ukry-

tę w rzeczach, które wydawały się najbardziej jasne, jak odkrywa otchłanie tam, gdzie nasze naiwne umysły niczego nie dostrzegały. O, jak oddaleni byliśmy wtedy wraz z nim od Elohim i od Biblii, która tak łaskawie pomaga w podstępach Jakóbowi, by oszukiwać prostego Ezawa! Jak poufały i poczciwy był Bóg Abrahama i Jakóba w porównaniu z En-Sof, Istotą nieskończoną, nieograniczoną, wyższą od bytu, a nawet od myśli samej, która była przedmiotem medytacji rebbego. Z rozjaśnionym wzrokiem i bladym uśmiechem swej brody wyjaśniał nam, jak En-Sof, ten Bóg nieskończony, cofnął się sam w siebie, zamknął się, ażeby dać możność bytu swemu przeciwstawieniu, Istocie skończonej, i dzięki jakim trikometafizycznym Nieskończony znajdował jeszcze środki, by zachować pewne stosunki ze światem skończonym. Opowiadał nam również, że Mesjasz przyjdzie z chwilą, kiedy wszystkie dusze, stworzone w początkach Czasu, zostaną ucieleśnione i przejdą próbę życia.

— Rabbi, — krzyliśmy wszyscy razem, — niech się ucieleśnia jak najszybciej i niech wielki dzień nastanie! Dlaczego nie widziano go jeszcze dotychczas? Czyż jest tyle dusz?

— Nie, — odpowiadał nam, — dusze nie są

w liczbie nieograniczonej. Jest ich nawet bardzo mało. Lecz nasze grzechy są niezliczone i każda dusza jest zmuszona wrócić na ziemię i rozpocząć życie tyleż razy, ile, na swoje i nasze nieszczęście straciła podczas swego bytu ziemskiego czystości, jaką posiadała w początkach swego istnienia. To też biada tym, których grzechy zmuszają dusze, by wtórnie się ucieleśniły! Błogosławieni zaś ci, którzy się oczyszczają dzięki modlitwom i postom. Ci przyspieszają dzień oczekiwany!

Gdy tam, w swoim małym pokoju w Szuranie, Reb Szapse oddawał się w godzinach wolnych wraz z Małpiami Ramionami swojej namiętności dla szachów, Reb Eleazar kombinował podług reguł jakiejś tajnej matematyki litery Księgi Wiecznej, by przeniknąć wielką tajemnicę Czasu, dzień niecierpliwie oczekiwany, w którym Mesjasz ukaże się w całej swej chwale.

Jeszybot w Homonie nie zaliczony do rzędu świętych przez rabinów ortodoksyjnych. Dla nich kabalista był tak samo szkodliwy, jak najbardziej cyniczny Epikurejczyk. Talmud nam mówi: „Unikajcie starannie stosowania waszego umysłu do rzeczy metafizyki. Żyjemy na ziemi, a nie w niebie. Jeżeli spodoba się Bogu, by zamienić nas



później w aniołów, albo serafinów, będziecie mieli wówczas przed sobą wieczność, by móc nauczyć się więcej rzeczy nieznanych. Narazie uczeni przewidzieli wszystkie okoliczności, jakie mogą się zdarzyć w życiu. Dla każdej wynaleźli rozwiązanie rozumne. Zadowalajcie się poznaniem i zastosowaniem się do nich. Reszta was przerasta, odchodzący z tego świata niech was nie obchodzą“. Lecz w trakcie studjów, wszyscy bocherzy zatrzymywali się u Reb Eleazara. Jedni dlatego, że byli ciekawi jego odrębności, drudzy dlatego, że się było u niego lepiej traktowanym, niż gdzie indziej, a inni znów, to był mój wypadek, dlatego, że się znajdowało w Homonie policję mniej czujną, niż w innych jeszybotach.

Jeżeli w jakąś noc zimową w Homonie (bywały również wiosny i lata podczas tego dziwnego okresu mego życia, lecz wydaje mi się, że wszystko odbywało się w błocie i śniegu), zatrzymalibyście się przed jednym z tych małych domków, nieco oddalonych od miasteczka, gdzie mieszkałem z czterema kolegami i gdybyście przyłożyli ucho do okiennicy, usłyszelibyście to samo monotonne nucenie, co w innych domach, zamieszkałych przez bocherów. Gdybyście zaś zajrzeli przez szparę, widzielibyście, jak się kiwamy

na sposób tych, którzy się modlą albo uczą, jak bijemy pięściami w stół, by lekcja lepiej przeniknęła do mózgu. Pomyślelibyście wtedy: „Oto dobrzy bocherzy, oto pobożni uczniowie talmudu“. Lecz słuchajcie dalej. Co za dziwne słowa was dochodzą? Czyż to jest hebrajski? To ma być język Wiekuistego? Czy tu uczą się Talmudu? Czyż Talmud kiedykolwiek zajmował się gramatyką niemiecką, arytmetyką i botaniką? W świętej kakofonji tych głosów zmieszanych jeden śpiewa na starą nutę, używaną zazwyczaj przy Misznie i Gemarze: „Reb gramatyka powiada: jakie przypadki mogą przyjąć zaimki? Jakie przypadki? Jakie przypadki?“ Gemara odpowiada: „Zaimki mogą przyjmować wszystkie przypadki deklinacji“. Inny znów głos recytuje rytmicznie konjugację, zlaną ze starą formą tekstu babilońskiego: „Reb oznajmujący powiada: Ja biorę, ty bierzesz, on bierze“. Gdy tymczasem jakiś trzeci szalenie zarzuca, że tak powiem, płaszcz melodji uświęconej na jeden z aktów „Zbójców“ Schillera. Wszystko to, te nucenia, te kiwania, ten straszny melanz języka niemieckiego i hebrajskiego, wszystko to się robiło, by oszukiwać naszą gospodynię, przyzwyczajoną do starej melodji i również stróża nocnego, który obchodził wszystkie domy co wieczór.

W Homonie nauczyłem się niemieckiego, jak większość tych, którzy się oddawali naukom świeckim, porównyując tekst Biblii, przetłumaczonej przez Mendelsoana na niemiecki. Siłą cierpliwości i pomysłowości zdobywaliśmy wszystkie sekrety tego języka, który nam się wydawał językiem wiedzy i wolności. Nucąc i trzęsąc głową, przy blasku mojej świecy, zdobywałem gramatykę z tym samym entuzjazmem, z jakim ongiś słuchałem pod akacjami Węża w okularach, mówiącego o Królu olch i o rabinie Heinrichu Heinem. Doprawdy, powiadam wam, trzeba być Żydem z Europy wschodniej, ażeby włożyć tyle namiętności w coś tak suchego, jak gramatyka. Lecz dla nas jej słowa i reguły były obietnicą rozkoszy, rozkoszą samą. Były one w naszych umysłach równoznaczne z kołnierzem i krawatem o czerwonych punktach, które tyle przyjemności sprawiały Dandysowi na drogach żebraczych.

W Homonie dom, gdzie „jadałem dnie“, znajdował się prawie naprzeciw mieszkania rabina. Dwa piętra cegieł wynosiły go nad błoto i inne domy miasteczka i jak on, jego właściciel zdawał się przewyższać wszystkich Żydów tej gminy. Jeżeli chcieliście kupić małą baryłkę wódki, piwa,

albo wina, drzewo, skórę, fajans, nie trzeba było szukać gdzieindziej: znajdowaliście wszystko u Tomasza Mejera, którego zwano Tomaszem Bogaczem. Jeżeli pragnęliście nabyć dom, fermę w okolicach, nie mając czem zapłacić, nie mówię, że Bogacz dawał go wam w podarunku, ale przez chwilę przynajmniej dawał wam złudzenie posiadania. Wiekuisty trzymał na nim stale zwrócone swoje spojrzenie i faworyzował go codziennie na wszelkiego rodzaju przedsięwzięciach, do których zazwyczaj się nie miesza. Na głowę włożył mu ten wieniec błogosławieństwa: czterech synów, którzy będą odmawiali po nim modlitwę pośmiertną. Jeden raz tylko Bóg wykazał mu swój zły humor. Było to piętnaście lat temu, kiedy mu zesłał córkę. Lecz ta nieślaska, której na imię było Golda, ledwo nie zamieniła się dzięki mnie w jeszcze jedno błogosławieństwo.

Czar ghetta (jeśli można użyć tego słowa) tkwi w tem, że się znajduje często u tych samych osób dziwną mieszaninę zmysłu praktycznego i marzycielstwa. Choć Tomasz Mejer oddawał się w swoim handlu kalkulacjom, które nie miały nic wspólnego z temi, jakie uprawiał Rabbi Eleazar, jednak miał dla szaleństw rabina uwielbienie bez granic. Ponieważ w moim interesie leżało, by zρέcznie

postępować z moim gospodarzem, którego stół mile pozwalał mi zapominać kuchnię prawie urojoną starej Babeli, więc starałem się naśladować jego upodobania i między dwoma kęsami powtarzałem mu codzień głębokie myśli rabina z takim przekonaniem, jakobym był sam w nie wierzył! Postępowałem tak ku wielkiemu niezadowoleniu jednego bochera, który razem ze mną „jadał dnie“ u Mejera. Był to długi i złośliwy chłopiec. Na policzkach miał dwa kosmyki włosów czarnych i tłustych, podobnych do dwóch smutnych przecinków. Nazywaliśmy go Kleksem. Należał on do tej rasy czystych talmudystów, którzy spoglądali zgóry na Rabbi Eleazara, śmieli się z jego dygresyj i wstępowali do Homony tylko poto, by wzmocnić swe popsute żołądki.

Pewnego czwartku rabin miał objawienie nadzwyczaj sensacyjne. To było wieczorem, albo raczej o zmroku. Skończyliśmy modlitwę o zburzeniu Świątyni. Rabbi Eleazar rozkazał zamknąć okiennice, wychodzące na ulicę, i zapalić świece w lichtarzach. Kiedy wszystko zostało szczelnie zamknięte, a my staliśmy wokoło, zapatrzeni w jego wargi, wtedy głosem jeszcze dziwniejszym, niż zazwyczaj, głosem z Babilonji, powiedział, że trzeba podwoić modlitwy, albowiem Mesjasz ma

nadejść za sześć lat. Następnie, wskazując swoim palcem przeźroczystym poprzez mur, w kierunku domu Mejera, rzekł:

— Ten pałac, który widzicie tam, gdyby chciano mi go sprzedać za dwa kreuzery, nie kupiłbym go. Nie, napewnobym go nie kupił! Co to będzie miało za wartość za sześć lat?

Opanowany pewnego rodzaju ekstazą, opadł na krzesło, a oczy wzniosł ku belkom sufitu, całkowicie zmieszany z niewidzialnem. My, jego uczniowie, zebrani dookoła, patrzyliśmy w milczeniu; jedni pełni nabożnego osłupienia, drudzy, jak ja, bardziej zdziwieni, niż wzruszeni; a prawdziwi talmudyści, na sposób Kleksa, z wyżyn swej mądrości, litowali się nad szalonymi myślami tej starej, siwej brody.

Rabbi pozostał tak w omdleniu przez dłuższą chwilę. Kiedy wyszedł z ekstazy, skierował wzrok na nas i zdawał się być nadzwyczaj zaskoczony, znajdując siebie w naszym towarzystwie. Omackiem, jak niewidomy, poszukał ramienia bochera, który mu służył za sekretarza, i opierając się na nim, podążył do swego pokoju z wyrazem wielkiego zmęczenia, co zresztą było zupełnie naturalne po tak dalekiej podróży.

Jednym skokiem przebyłem ulicę, by donieść

Mejerowi nowinę. Na podwórzu spotkałem Goldę. Już dużo miesięcy upłynęło, jak „jadałem dni“ u jej ojca i rzekomo nie wiedziałem o istnieniu Goldy, ponieważ chłopcu od szóstego roku życia już nie wolno rozmawiać z dziewczyną, a spojrzenie na mały palec kobiety jest aktem rozpusty. Nie należało patrzeć na Goldę, a jeszcze mniej do niej mówić. Lecz jeżeli chodzi o zawiadomienie, że Mesjasz puka do drzwi, wtedy niema żadnych obyczajów. Widziałem Goldę, mówiłem do niej i pytałem, czerwieniąc się, gdzie mógłbym znaleźć jej ojca. Spłoszona, ukradkiem wskazała mi magazyn, lecz dźwięku jej głosu nie słyszałem.

Z czapką, zsuniętą na tył głowy, w chałacie rozpiętym, zastałem Bogacza, targującego się z chłopami. Zbliżyłem się do niego z miną tajemniczą i ciągnąc go za rękaw chałatu na stronę, opowiedziałem mu jednym tchem objawienie niesłychane, jakie miał Reb Eleazar przed chwilą, przy zamkniętych okiennicach, z drugiej strony ulicy. Przypuszczałem odrazu, że moje słowa wywrą na Mejerze wielkie wrażenie, lecz skutek przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Niewątpliwie emocja nie sięgała tak daleko, by dał sobie skrócić kilka kreuzerów ze swego targu, lecz mnie zatrzymał z tej okazji na kolację. Jeszcze jaką kolację! Praw-

dziwa kolacja sobotnia, z rybami i mięsem, podczas której od początku do końca raczyłem mego gospodarza mnóstwem propozycji obłudnych. Kiedy się ma siedemnaście wiosen, jest się mało skłonny uwierzyć, że za sześć lat nastąpi panowanie sprawiedliwości i szczęścia wiecznego, to znaczy koniec świata. W tym wieku każdy chętnie zadowala się sprawiedliwością łagodną i szczęściem chwilowym, jakie przypadek nam nasyła. Jeżeli Mesjasz przyjdzie za sześć lat, mówiłem sobie, przyjmiemy go z radością, jeżeli zaś nie przyjdzie, to od dwóch tysięcy lat nie będzie to pierwszy raz, jak oczekujemy go daremnie!... Lecz, jeżeli się ma przeszło siedemdziesiąt lat, wtedy się rozumuje inaczej. Akceptuje się bez trudności myśl, że za sześć lat ma nastąpić koniec świata, albo raczej inny, lepszy ma się rozpocząć. Zwłoka sześćdziesiąt lat doskonale odpowiadała Mejerowi. Przypuszczam nawet, że żadna inna nie mogła go bardziej zadowolić. Mniej, niż sześć lat, byłoby za krótko, miałoby się za ledwie czas, by się przygotować do wielkiego dnia. Następnie, jakkolwiek byłoby ciężko na tym padole łąz, można się gdzieś jakoś urządzić i nikomu nie pilno opuścić go za szybko. Więcej, niż sześć lat, byłoby za długo. Ryzykowało się w wieku Mejera, by przed szczę-



śliwem ukazaniem się Mesjasza nie przebyć przypadkiem nieprzyjemnego kwadransu czasu w dolinie Jozafata. Ale sześć lat było prawie okresem odpowiednim! Myśl, że za sześć lat jego dom nie będzie wart dwóch kreuzerów, ten dom, z którego był tak dumny, o którym chrześcijanie sami mówili z podziwem: „Tu oto mieszka Rotszyld z Homony!“, ta myśl martwiła wprawdzie nieco Bogacza. Zresztą dla przybycia Mesjasza można było zrobić ofiarę! Puchar wina krążył, jak za wielkich dni, a kiedy butelka wypróżniła się, Bogacz wykrzykiwał:

— Goldo, córko moja, nie oszczędzajmy więcej niczego! Za sześć lat będziemy pili wino, jakie Bóg zachowuje od pierwszego dnia w swoich piwnicach niebiańskich, i będziemy jadalі lewjatana z cebulą i czosnkiem!

Przytakiwałem mu z całego serca, jak prawdziwy Epikurejczyk. Wypróżniłem szklanke i moim najładniejszym głosem paschowym zaintonowałem tę starą piosnkę, którą bardzo często śpiewałem podczas moich *tournée'ów*, ku radości moich słuchaczy:

#### KIEDY MESJASZ PRZYJDZIE.

Kiedy Mesjasz przyjdzie,  
Na drzewach pełno będzie fajek

I cybuchów, napchanych przednią tabaką.  
Ołtarz będzie z ciast i z jajek,  
A w lampie wiecznej  
Palić się będzie wódka czterdziesto-stopniowa.  
Och, kiedyż nadejdzie ten dzień?

Ogrzejmy kąpiel Rebege i jego żony  
Żerdzią i wierzbą, rosnącą na ziemi Rebege.  
Jego wóz przykryty będzie tałesem,  
A dyszel będzie z oliwnego drzewa z Palestyny.  
Och, kiedyż nadejdzie ten dzień?

Po każdej zwrotce Tomasz Mejer podnosił swoją szklankę i śpiewał tym samym rytmem:

    Za sześć lat, mój synu, za sześć lat!

Nazajutrz, jak zwykle, wróciłem w południe na obiad, ale tym razem z Kleksem. Podczas całego obiadu była mowa, rozumie się, tylko o przepowiedni rabina. Gdyby Kleks miał za dwa szelągi zdrowego rozsądku i należytą troskę o interesy swoich wnętrzności, byłby postąpił, jak ja, i potakiwał gospodarzowi. Lecz on mnie nie lubił wcale i, ażeby mi zaprzeczać i zabłysnąć swoją znajomością Talmudu, uparł się, by zrujnować u Mejera nie nadzieję w przyjście Mesjasza, którą nosimy wszyscy w sercach, ale myśl, że można wykalkulować ściśle datę jego przybycia. Mejer,

nie będąc uczonym, słuchał go z niepokojem, i jak tonący na morzu szuka oczyma, czego się chwycić, tak on na mnie rzucał spojrzenia beznadziejne. Przybiegałem całą siłą wioseł! Mnie również nie trudno było cytować rabinów, znaleźć argumenty i posługiwać się tekstem autentycznym lub fałszywym. Byliśmy, jak dwa koguty zczepione razem, które dziobami i ostrogami wyrwały sobie pióra. Mejer śledził naszą bitwę z namiętnością nieuka, który czyha na argument, odpowiadający jego przekonaniom i na wszystkie ruchy tego, któremu chciałoby się wyrwać skarb, jaki dopiero co znalazł. Jeżeli Kleks unosił ten skarb, twarz Bogacza pokrywała się smutkiem. Jak tylko mnie się udało go schwytać, radość wracała i dobry kęs spadał wtedy do mojego talerza. Niech Bóg mi wybaczy, ale myślę, że Golda również mnie uwielbiała! Chyba przypuszczacie, że ona tego nie okazywała, lecz w tej dyspucie byłem obrońcą Mesjasza, a Mesjasz dla takiego dziecka, jakim ona jeszcze była, jest Księciem czarnym ghetta.

Dysputa byłaby się przeciągnęła aż do nadejścia boskiego wysłannika, gdyby Mejer u szczytu niecierpliwości nie odprawił Kleksa słowami:

— Możesz zmówić modlitwę.

Skończywszy błogosławieństwo, szykowałem się do wyjścia wraz z moim towarzyszem, gdy Bogacz dał mi znać, bym został.

— Ludzie jego pokroju, — powiedział mi, wskazując palcem na mego kolegę, — ludzie jemu podobni, opóźniają od wieków przybycie Mesjasza. Uczciwe słowo, trzeba, ażeby ich dusze wróciły z pięćdziesiąt razy na ziemię do ciał osłów i mułów, by się oczyścić z ich głupoty!...

Biorąc mnie za chałat, pociągnął mnie do składu, gdzie znajdowała się waga o olbrzymich szalach, na której się ważyło skóry i wełnę. Bogacz zatrzymał się przed tem narzędziem groźnem, wysokiem, jak szubienica. Myślałem, że mnie chce zważyć, a już się znalazłem na jednej z szal, a na drugiej postawił ciężar, odpowiadający prawie mojej wadze. Nie nadarmo Bóg obdarzył go córką, skarbem, jego Goldą, a on, Tomasz Mejer, z kolei mnie ją oddawał. Dawał mi ją za żonę, ażebyśmy mieli dzieci, ażebyśmy dostawili jak najszybciej ciała duszom, które miały jeszcze odbyć podróż ziemską, i niech się nie mówi, że Mejer Bogacz niczem nie przyczynił się w Homonie, by przyspieszyć przyjście Mesjasza!

Nie mogłem ochłonąć. Jakto, ja miałem zostać zięciem Tomasza Bogacza, zięciem Rotszylda

z Homony! Skończone z suchym chlebem wieczornym! Skończone głodowanie i *tournée* piątkowe! Zrana i wieczorem zasiądę do stołu Mejera! Będę miał w jego pałacu mały pokoik i świec dowoli! Będę mógł żyć, nic nie robiąc, jak u nas wuj Zalme! Nic nie robiąc, co ja mówię? Nie robić nic innego, tylko czytać, ukryty przed wzrokiem ludzkim, książki zakazane, które czynią człowieka oświeconym... Słuchałem, jak we śnie, mego przyszłego teścia, mówiącego:

— Moja Golda jest, jak jej matka (niech Bóg ją ma po swej prawicy), jak siostra Racheli i Sary. Przez sześć lat wy we dwójkę możecie odkupić pięć dusz takich głupców, jak Kleks.

A z głębi mego serca wznosiło się to błogosławieństwo: „Błogosławiony bądź, Boże, żeś stworzył kabałę i rabinów kabalistów!“

Moje nadzwyczajne szczęście uruchomiło języki moich kolegów więcej, niż przyjście Mesjasza. Mówiono mi nie bez radości: „Dla ciebie przynajmniej, Jakóbie Lipszycu, Mesjasz już przyszedł!“ Na co ja odpowiadałem tonem obłudnym: „Wiecie przecież, po sześciu latach dom Tomasza Mejera nie będzie wart dwóch kreuzerów...“

A oni na to tym samym tonem: „Naturalnie, Jakóbie, ale sześć lat, to sześć lat“.

Narazie z czterema pozostałymi Epikurejczykami nadal nuciłem u mojej gospodyni podług rytmu Talmudu rzeczy bardzo różne od tych starych ksiąg. Lecz przyznaję, byłem roztargniony. Dzień ślubu zbliżał się. Mejer obstałował już wiktuały, przyjął te stare kobiety, które przy wielkich okazjach przygotowywały rybę, mięso i ciasta. Już widziałem, jak za kilka dni stanę pośrodku podwórza pod chupą<sup>1</sup>. Choć nie było we mnie nic podobnego do uczucia miłości, marzyłem jednak o zmianach, jakie miały nastąpić w moim życiu i z mniejszym zapalem, niż zazwyczaj, nuciłem reguły zgody rzeczownika z czasownikiem. Koledzy, nie mając moich kłopotów, oddawali się całemu sercem nuceniu gramatyki i zeszytom. Okiennice były dobrze zamknięte i nawet nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co się działo na zewnątrz... Z drugiej strony okiennic był deszcz, burza, albo coś w tym rodzaju. Ale było jeszcze coś, był Kleks. Jakie podejrzenie, jaka zazdrość przyprowadziła go pod zamknięte okna? Jak długo słuchał recytowania naszego dziwnego Talmudu?

---

<sup>1</sup> Baldachim, pod którym bierze się ślub. (*Przyp. tłum.*).

Przeszedł jak cień nocy. Nic nie zmaćiło naszego czuwania, a kiedy już świecy nie starczyło, zasnęliśmy wszyscy w piątkę w zachwycie „gramatycznym“.

Nazajutrz Rabbi Eleazar zawołał nas do siebie. Gdy tylko znalazłem się w jego pokoju, poczułem się zgubionym, jak Absalon, zawieszony za włosy na dzikim drzewie oliwnem. Nasze książki, a raczej stronice, wyrwane z naszych książek, które wsuwaliśmy między karty świętych tomów, nasze gramatyki, nasze słowniki, „Zbójcy“ Schillera, Biblia niemiecka Mendelsoana, zniszczone numery „Róży Saronu“, wszystkie nasze bożyszcza, wszystkie nasze grzechy, leżały na podnóżku obok stołu rabina, jako krzyczące dowody naszego odstępstwa i naszych wysiłków uporczywych, że aż się chciało uciec przed samym sobą. Kleks niczego nie zapomniał, dobrze wypróżnił nasze sienniki. Poznawałem wszystkie nasze skarby. Rabbi Eleazar spoglądał na nas, nie wymieniając słowa, a my opuściliśmy oczy; jednak widziałem, jak łzy spadały mu na jego siwą brodę. Wkońcu rzekł:

— Poco tego dożyłem! Kiedy oddaliście się Kusicielowi? Jakim sposobem uprowadził was? Jeżeli czuliście się słabymi, dlaczego nie przyszliście do mnie?...

Jeden z nas (najstarszy między nami, mógł mieć osiemnaście lat i nazywał się Józef Hirszman), miał na tyle odwagi, by zdobyć się na powiedzenie:

— Rabbi, chcieliśmy zdobywać wiedzę.

— Jaką wiedzę, Józefie? Chcesz się nauczyć fizyki; czy ona ci powie, co podtrzymuje gwiazdy na sklepieniu niebieskiem? Matematyki? Czyż istnieje inna prawda matematyczna, wyższa od tej, że Bóg jest jeden? Czy geometria cię nauczy, co jest początkiem, a co końcem? Gdzie jeszcze dowiesz się o prawdach bardziej wzniosłych, jeżeli nie tutaj?...

Zatrzymał się na chwilę i znów zaczął:

— Bóg dał ongiś naszemu Królowi Salomonowi wiedzę wszystkich rzeczy, świętych i świeckich. Jakiemuś poganinowi udało się pewnego dnia zdobyć przypadkiem naukę materialną i wydał ją innym narodom. Ale nauka boska nam zostaje. To jest skarb święty, który Bóg zachował dla swego narodu. Jak wyglądałby świat, gdyby to światło nie objawiło się na wysokościach Synaju?

Znów się zatrzymał, jakby chciał, by Mojżesz nas sądził, i po chwili ciągnął dalej:

— Pytam się ciebie, gdzie są męczennicy gra-



matyki niemieckiej, metafizyki i filozofji, gdzie oni są?

— Ja nie wiem, — odpowiedział Hirszman, — moje serce ciągnie mnie ku tym, którzy zwalczają nieuctwo i sławią wiedzę. Rabbi, chcemy pracować. Tutaj uczymy się tylko. Wasza nauka jest rozkoszą, lecz na co ona nam służy?

Długo z elokwencją (niestety, mamy ją wszyscy) Józef rozwijał swe argumenty, które Epikurejczycy wynaleźli za czasów Mendelsona, by wyrwać się z zatechłej przeszłości i rzucić się głową wdół, w światło, albo w mrok.

Rabbi Eleazar pozwolił mu mówić dowoli, a kiedy Hirszman skończył, rzekł swoim cichym głosem:

— *Chilul haszem*<sup>1</sup>, splamiłbyś imię Boga. Jeżeli nosisz się z takimi myślami, nie masz nic więcej do roboty u mnie, — i wskazał mu drzwi.

Bez słowa nasz kolega opuścił pokój rabina, a ja, ośmielony jego odwagą, krzyknąłem:

— Rabbi, jeżeli on źle postąpił, to myśmy również zgrzeszyli. Uczyliśmy się razem.

— Powiedz im również, ażeby sobie poszli, — odpowiedział starzec, ale tym razem zwracając się

---

<sup>1</sup> Broń Boże. (Przyp. tłum.).

do swego sekretarza, jak gdyby dalsza rozmowa z nami miała zbrukać jego głos.

Wyszliśmy, ale niebardzo dumni, jakkolwiek byliśmy Epikurejczykami. Odtąd żaden jeszybot nas nie przyjmie, ponieważ nie mieliśmy świadectwa od rabina. A dla naszych rodziców co za skandal! Wieść o naszej hańbie wybuchnie, jak grzmot, w naszych miasteczkach. Ileż łez zostanie wylanych! Ile chałatów zostanie podartych na wieść o tem, że nas wykluczono z nauki świętej! Izrael nie jest czuły i karze ojców za grzechy synów. Dwóch z nas płakało rzewnie. Jeden syn rzezaka szeptał, szlochając: „Pozbawią go urzędu!“ Drugi, syn jakiejś biednej wdowy, myślał z utrapieniem, że zapomogi, jakie gmina dawała jego matce, zostaną nielitościwie cofnięte. A ja, jakie były moje myśli? Wszystko runęło dokoła mnie, dom Mejera, pokój cichy, gdzie obiecywałem sobie zdobyć wiedzę zakazaną, wszystkie marzenia, nie licząc Goldy! Co robić? Błagać rabina, rzucić mu się do nóg? Wyjaśnić, niewiedomo co, Mejerowi? Rabin czyż się da przebłagać? A Mejer czyż się da przekonać? Czułem głęboko, że byłoby mi niemożliwem wyrzec się tego, co zdobyłem, i co stanowiło już część mego życia. „Nie, mówiłem sobie, niech się stanie, co chce! Nie

pójdę do rabína, ani do Mejera! Córka Tomasza Bogacza będzie miała dzieci z innym, z Kleksem, jeżeli Bóg tego zechce! Ale trudno, włożę po niej żałobę! Nie przyspieszę z nią przyjścia Me-sjasza“...

Po takim skandalu nie mogliśmy zostać go-dziny dłużej w Homonie. Wytykanoby nas pal-cami i żaden dom nie otworzyłby się dla nas. Nie pozostawało nic innego, tylko spakować się i wyjechać. To długo nie trwało, ponieważ nasz bagaż był skromny. Opuściliśmy pokój, w którym spędziliśmy tyle słodkich i przestępnych wieczo-rów, gdzie tak dobrze się spało na twardych sien-nikach, wypchanych naszymi książkami bezboż-nemi. Kiedyśmy przechodzili obok jesybotu, znany hałas dyskusji talmudystycznej, która się odbywała bez nas, doszedł do uszu naszych i serce mi się ścisnęło na myśl o rabinie i o wszystkim, cośmy zostawili za sobą. „Oby żył do stu dwu-dziestu lat!“ — rzekł syn rzezaka.

Z wyjątkiem Józefa Hirszmana, wszyscy po-wiedzieliśmy „Amen!“

Podwórze Mejera było puste. Rzuciłem ostat-nie spojrzenie na jego ładny dom, który był schronieniem dla Goldy, dla Goldy i dla innych moich marzeń, i mimowoli westchnąłem.

Hirszman poczuł swoją słabość i zapytał:

— Czy żałujesz?

— Nie, — odrzekłem ochryplym głosem.

Wysliśmy z miasteczka. Syn rzeźnika i syn wdowy szli razem, nieco przed nami. Nagle się zatrzymali, i Józef Hirszman rzekł do mnie:

— Ci dwaj nie pójdą daleko, rabin ciągnie ich za chałaty.

W istocie, kiedyśmy się zbliżyli, oznajmili nam, że wracają, by przeprosić rabina.

— Idźcie sobie, — odpowiedział Hirszman tym samym tonem wyniosłym, jakim rabin jego odprawił i jakby ich przegnał na zawsze od wiedzy świeckiej.

Sam postanowił udać się do Berlina, gdyby nawet przyszło mu cały rok żebrać po drodze. Ja i mój drugi kolega mieliśmy zamiar pójść do Latorcki, gdzie bywały podobno targi, na które uczęszczali nasi współwyznawcy, przybywający szukać nauczycieli dla swoich dzieci.

Przez dłuższy czas jeszcze chodziliśmy razem, a następnie, doszedłszy do jakiegoś skrzyżowania dróg, Hirszman rzekł:

— Więc jak, nie idziecie ze mną? Co też zrobicie w Latorce?

Ja i mój kolega nie mieliśmy jego odwagi.

Myśl o zbyt nieznaney przyszłości przestraszała nas jeszcze. Cała przeszłość, bardzo stara, przywiązywała nas do ziemi węgierskiej i więcej może, niż przypuszczaliśmy, do starych myśli i do bardzo starych obyczajów.

— Nie, Józefie, — odrzekłem. — Masz może rację, odchodząc bardzo daleko, ale my dwaj chcemy tutaj zostać. Niech Bóg cię błogosławi i ma w swej pieczy, niech Jego twarz uśmiecha się dla ciebie, niech cię uchroni od niebezpieczeństw, niech zwróci swe spojrzenie na ciebie i niech cię prowadzi w pokoju!

— Amen, — odpowiedział tym razem, ale z uśmiechem, który mnie przestraszył, i uściśnawszy sobie ręce, Epikurejczycy rozstali się.

Nazajutrz dość wczesnie przybyliśmy do Latorki. Była tu cała menażerja ludzka tej części Karpat: Rusini, ubrani w czapki ze skóry baraniej i ich żony w ubraniach męskich, ale bez butów, o bosych nogach, palące długie, brązowe fajki; Słowacy, którym tłuste włosy spadały na ramiona wzdłuż twarzy golonych i dziewczęta słowackie, ubrane w kamizelki skórzane na koszulach lnianych o rękawach bogato haftowanych; Saksończycy w krótkich marynarkach, w pończochach

z wełny niebieskiej i w pantoflach skórzanych, a Saksonki w szerokich sukniach i w szalach jedwabnych, ze złotymi monetami na szyi. Wszyscy ci ludzie, którzy rozmawiali językami tak różnemi, jak ich dziwaczne ubiory, przybywali zakupować wszelkiego rodzaju rzeczy u Żydów, ponieważ wszyscy kupcy byli Żydami, z wyjątkiem szewców polskich i nożowników rosyjskich.

O tej godzinie jeszcze wczesnej Żydzi w swoich sklepikach albo w kramach, wzniesionych na środku rynku, z tałasami na głowach i rzemieniami na rękach, odmawiali swoje modlitwy równie spokojnie, jak w bóżnicy i przerywali sobie tylko, by krzyknąć do swoich żon, albo córek, które tymczasem sprzedawały: „Traue, daj szklanekę wina... z tej małej baryłki.... Ester, pokaż skórę!... Tą kocią? — Kiedy to widziano, żeby soból po śmierci stał się kotem?“... Następnie znów wracali do modlitwy. Kilka kroków dalej dziesięciu Żydów, zebranych koło kramu kupca fajansu i porcelany, wprowadzało w ruch swoim hałasem pobożnym filiżanki do kawy i nocniki, zawieszzone w kształcie wieńca nad ich czapkami futrzanemi.

Osobistość, która interesowała na tym targu mego kolegę i mnie, nazywała się Nysn Tobler.

To był mekler<sup>1</sup> cieląt, stręczyciel bocherów. W jakiejś małej gminie brakło mełameda<sup>2</sup>; kilku Żydów, zamieszkujących jakąś odległą wieś, starano się wspólnym kosztem sprowadzić nauczyciela, albo jakiś Krezus, który nie chciał posyłać swoich dzieci do szkoły publicznej, szukał wychowawcy. Chodziło się wtedy do Nysna, a Nysn zawsze miał pod ręką tę perłę, jaką pragnęło się mieć, akurat tę samą, a nie inną.

Znaleźliśmy go na końcu długiej ulicy, w jakiejś małej kawiarence, gdzie stale przebywał, czyhając na przejeżdżających bocherów. Rozpoznawał ich po minie niezręcznej i ruchach niepewnych, kiedy się zatrzymywali przed jego drzwiami.

Zaledwie wszedłem, a już mnie uderzył po plecach, jak młode cielę po grzbiecie, wykrzykując: „Dobrze, że jesteś!“ Powiedzianoby, że mnie zna i oczekuje od wieków.

— Jesteś belfrem? — zapytał.

— Jeszcze nie, — odrzekłem nieśmiało. — Ale mam nadzieję nim zostać.

— Mam świetne miejsce dla ciebie. Nie będziesz belfrem, ale prawdziwym profesorem.

---

<sup>1</sup> Pośrednik. (*Przyp. tłum.*).

<sup>2</sup> Mistrz chederu. (*Przyp. tłum.*).

— Umiem jeszcze bardzo mało, — znów rzekłem nieśmiało.

— Umiecie wszystko! — krzyknął, przestając mówić do mnie „ty“, ażeby mi nadać większego znaczenia. Warci jesteście doktora... A doktor, czy wie, gdzie są Chiny? Wy napewno to wiecie!

— Nie, panie Tobler, nie wiem.

— Tak, tak, wiecie! To jest wyspa w Azji... Pijcie, jedzcie, a nie kłopotcie się o nic.

Po tych słowach kazał mi podać zupę.

Miałem już tego dnia nie otrzymać tej cudownej posady, dzięki właśnie tej wiedzy, którą mekler cieląt tak szlachetnie mi przypisywał. Przez cały dzień widziałem defilujących przedemną Żydów tłustych i chudych i za każdym razem Nysn rozpoczynał swoje pochwały na moją cześć:

— On jest chudy, więc mało je... Nie lubi spaceru, więc mało butów zedrze... Kładzie się wcześniej spać, więc dużo zaoszczędza świec... To jest znakomity uczony.. Pytajcie go o byle co, zadawajcie mu najtrudniejsze pytania, gdzie są Chiny? On wam odpowie.

Lecz przeznaczenie widać nie chciało, bym poszedł do Marmaros, do Michalji, albo do Tokaju, ani do innego miejsca, gdzie moje życie poszłoby może inną drogą, niż tą, którą obrało trzech albo



czterech bocherów, między nimi mój kolega; oni znaleźli już odbiorców, a ja nie skusiłem jeszcze nikogo. Byłem ostatniem cieleciem meklera. Wieczór zapadał i straciłem już nadzieję, czy zostanę kiedykolwiek zaangażowany, kiedy nagle w kawiarni zjawił się ubrany, jak chrześcijanin, Żyd, który szukał wychowawcy dla małych dzieci.

— Dla małych dzieci, co za szkoda! Taki uczoney! — rzekł Tobler, rzucając na mnie spojrzenie, które, zdawało się, nie mogło objąć całej rozciągłości mojej wiedzy.

Gość uśmiechał się, i nie pytając o moje kwalifikacje, jakoby to było dla niego rzeczą bez znaczenia, poprosił o podanie warunków.

— Dwanaście florenów dla niego, — rzekł Nysn. — Dla siebie nic nie chcę. Żądam tylko zwrotu tego, co mnie kosztował. Ten uczoney czeka tu na pana od tygodnia. On w tej oberży pił, jadł i spał na mój koszt. Ja przecież nie mogę żywić i gościć za darmo wszystkich młodzieńców z okolicy! Poproszę pana jedynie o zapłacenie kosztów utrzymania. To stanowi siedem florenów i dwadzieścia siedem kreuzerów.

Od tego czasu widziałem już niejednen kontrakt, ja sam zawarłem kilka i sprzedawałem się dosyć często, ale nigdy z takim niepokojem nie

oczekiwałem rezultatu targu, jak tym razem. Od kilku miesięcy tak bardzo się zmieniłem, naładowałem się tyloma grzechami wszelakiego rodzaju! Zdawało mi się, że to każdemu bije w oczy. Zdawało mi się, że przekleństwo Reb Eleazara zostało wydrukowane na mojem czole, że wszystkie najtajniejsze ruchy moich myśli powinny były przerazić każdego dobrego Żyda. Czułem się upokorzony i zarazem dumny. Ale narazie byłem niespokojny o wrażenie, jakie może wyrzucić na człowieka, którego miałem przed sobą, umysł wyzwolony, jak mój, bannita jeszybotu, wygnaniec Talmudu, młodzieniec, który wczoraj jeszcze był powodem płaczu rabina z Homony, słowem Epikurejczyk! „Wprawdzie, — mówiłem sobie, patrząc na jego ubranie, — on również nie jest bez grzechu. Marynarka, kapelusz miękki, to dużo mówi o stanie duszy! Trzeba już mieć za sobą długą drogę wygnania i myśli bezbożnych, ażeby w ten sposób móc pozbyć się starego, dziwnego ubioru“... Szybko te wszystkie myśli przebiegały mi przez głowę, ale szybciej jeszcze został targ dobity i suma zapłacona. Po raz pierwszy miałem się stać nauczycielem, jeżeli takie słowo mogło kiedyś stosować się do Żyda.

### ROZDZIAŁ III.

Stary Żydzie, targany przez życie, rozbitku Izraela, długo rzucany przez fale, raz będąc na dnie otchłani, to znów na szczytach wspinających, przypomnij sobie twoje przybycie do Michkolszu, do domu adwokata... Nie żydowskiego, nie żydowskiego! Szukałem na drzwiach pobożnego pudełka blaszanego, które się całuje przed wejściem, ale ono było tak misternie schowane w ozdobnym gzym-sie drzwi, że nie mogłem go odkryć. W przedpo-koju mój nowy chlebodawca zdjął kapelusz naj-naturalniej w świecie, jakby to zrobił chrześcija-nin. Zdjąłem również czapkę i po raz pierw-szy w życiu miałem głowę odkrytą. Nie zdążyłem ochłonać jeszcze, gdy jakaś kobieta zjawiła się przede mną. Widziałem dotychczas żydówki tylko w perukach satynowych i w sukniach, które prócz rąk i twarzy zakrywały całe ciało. Ale ta miała rękawy skrócone do łokci i włosy o kolorze krzy-zącym, związane ztyłu nad szyją, obficie odkrytą.

Natychmiast spuściłem oczy. Ta kobieta wydawała mi się naga. Lecz byłem daleki od tego, by jej obecność wzbudzała we mnie najmniejszą myśl lubieżną, przeciwnie, wzbudzała tylko w mojem sercu, w sercu dzikiego bochera, wychowanego we wstręcie dla kobiety, uczucie odrazy. Przypomniałem sobie te straszne słowa, używane przez Dandysa w jego kazaniach wielkanocnych: „Biada wam, kobiety żydowskie, bo zamieniacie peruki satynowe na peruki z włosia końskiego!...” A ta nawet włosia końskiego nie nosiła na głowie, miała swoje własne włosy!

Była godzina obiadowa. Obiad taki sprawiłby w drżenie wszystkich nabożnych Żydów, którzy przez cztery lata mnie karmili przy swoich stołach, jako wysłannika Tory! Ani wody do obmycia rąk, ani błogosławieństwa przed rozpoczęciem jedzenia. Straszna mieszanina dań, które Prawo zakazuje jadać jedne po drugich. Mięso po mlecznem. To znów, zamiast mięso rozkroić od razu na drobne kawałki na swoich talerzach, adwokat i jego żona, w miarę, jak jedli, krajali z niego oddzielne kawałki. Skończywszy ten okropny obiad, obydwaj uścisnęli sobie ręce na sposób węgierski, i tak samo, jak na początku, nie zmówiono błogosławieństwa. Powtarzałem ją w duszy, tę starą

modlitwę, bez której, zdawało mi się, żadne jedzenie nie zostanie strawione: „Błogosławiony bądź, Wiekuisty, żeś nam dał pokarm!“ Och, jak w tej chwili żałowałem jeszybotu i drogiego Reb Eleazara, ja, Epikurejczyk, modernista, przyjaciel gramatyki niemieckiej! Jakże daleko chciałbym być od Michkolszu, w Homonie, w Püspök, a nawet u starej Babel, gdzie obiad miał wygląd smutnego złudzenia... Wtem, jakby cudem, całe stare żydostwo zdawało się przybywać na ratunek. Jakaś stara peruka satynowa, która nie kryła ani jednego włosa, ani jednego włosa końskiego, peruka satynowa koloru zaschłych liści, pocziwa, jak moneta złota, weszła do pokoju jadalnego.

— Matko, — rzekł do niej adwokat, — oto nauczyciel, którego znalazłem na targu w Latorce, dla twoich wnuków.

Jego żona dodała natychmiast tonem, który miał być miły, ale jej się nie udało:

— Przypuszczam, że teraz będziecie zadowoloną.

Lecz, nie odpowiadając na jej słowa, stara krzyknęła, spojrzawszy na stół jeszcze niesprzątnięty:

— Co, on jadł razem z wami! On jadł wasz pokarm!

— A co jest w tem złego? — zapytała kwaśno młoda kobieta, której włosy w świetle raziły mi oczy. — Wasz syn jadł tak samo, jak on.

— Mój syn jest moim synem! — odparła stara peruka Izraela. — Ja wydałam go na świat i odpowiedzialność za jego błędy całkowicie spada na moją głowę. Lecz ten, — ciągnęła dalej, wskazując na mnie palcem, — ten jest nam obcy i nie mamy prawa postępować z nim w ten sposób.

— Uspokójcie się, — rzekła synowa, — na przyszłość on będzie jadał z wami.

Następnie rzuciła spojrzenie na mój chałat brudny, na chałat, kupiony w zeszłym roku w Marmaros, na szal źle zawiązany, na moje ręce źle utrzymywane, słowem, na całą moją osobę, od pejsów do butów, które od zeszłego roku również nie odmłodziły, i dodała tonem bezbarwnym:

— Ja, wiecie, nie pragnę nic lepszego.

Zaczerwieniłem się po uszy. Jakto, do tego już doszedłem! Opinia kobiety mogła mnie upokorzyć do tego stopnia! Kobieta, która nie miała już nic w sobie żydowskiego!

Po raz pierwszy uczułem wstyd. Wstydziłem się mego ubrania, mojej osoby, wstydziłem się, nie wiem sam, czego, co było we mnie, dokoła mnie. Przed chwilą dopiero żałowałem Babeli

i jej kuchni, bogatszej w błogosławieństwa, niż w masło i smalec gęsi, a teraz, zupełnie niekonsekwentnie, poczułem utajoną wściekłość dlatego, że ten archanioł rudy pozbawił mnie na zawsze tej sali trefnej, do której miałem wstręt.

Odtąd jadałem u ojca i matki adwokata. Zamieszkiwali oni oddzielnie drugie piętro domu. Między tymi dwoma staruszkami życie było niewesołe. Stara peruka satynowa nie przedstawiała więcej interesu, niż wszystkie inne kobieciny, u których „jadałem dnię“ albo wynajmowałem siennik. Co się tyczy Mojżesza, jej męża, to w jaki sposób uczony talmudysta, czytelnik książek zakazanych, przyjaciel Reb Goethego i Reb Heinricha Heinego, mógł interesować się Żydem, który wszedł w życie dzięki ostatniemu z zajęć, dzięki temu, że był rzeźnikiem? Nie, to nie było wcale uciészne słuchać kilka razy w tygodniu, jak ten zabijacz wołów opowiadał mi o swoim sposobie robienia majątku: „Udałem się więc, mówił mi, do pałacu i rzekłem do lokaja hrabiego: „chciałbym zobaczyć jego Ekscelencję“, a lokaj do mnie: „Ile wołów kupujesz dziś, wuju Braunsztajn?“ Odpowiedziałem mu półgłosem, mrużąc oko: „Jeden więcej, niż przypuszczasz, mój chłopcze!“ Wtedy lokaj na to: „Wuju Braunsztajn, zapro-

wadzę was do hrabiego“. Rzeczywiście, wprowadził mnie do pokoju hrabiego. Ukłoniłem się, a hrabia rzekł: „Czego potrzebujesz, Mojżeszu?“ Odpowiedziałem: „Panie hrabio, jestem biednym Żydem, ale pan mnie zna i wie, że ja zawsze płaciłem za woły waszej Ekscelencji więcej, niż wszyscy. Mam prośbę do pana. Mam nadzieję, że wasza Ekscelencja nie pogniewa się“. — „Mów, mów, Mojżeszu, bez obawy“. — „Ekscelencjo, chciałbym wziąć w dzierżawę tę małą fermę Ekscelencji“. — „Jako, Mojżeszu, czyż nie jesteś moim Żydem?“ Następnie kazał mi usiąść na fotelu złożonym i mówił ze mną, powiadam ci, jakobym był sam hrabią albo baronem. Ach, to był zachwycający człowiek! W mojem życiu nie spotkałem jeszcze miłszego. Zapewniam cię, nie powiedziałby byle komu: „Ty jesteś moim Żydem“. Nie, byle komu nie zrobiłby tego zaszczytu. Jego rządca mógłby pęknać, a nie traktowałby go tak po przyjacielsku!“...

Opowiadanie przedłużało się i doprawdy, skoro myślę o tem, godne to było podziwu, jak z rozmowy w rozmowę, z wizyty w wizytę, wuj Braunschtajn kończył na tem, że skupował u hrabiego wszystkie fermy, jedną po drugiej, nie przestając ani na chwilę szanować człowieka tak miłego.



Jeżeli w ten sposób, kawałek po kawałku, roz-  
ćwiartowało się jakiegoś wielkiego pana, i posiadał  
się wkońcu trzy tysiące włók lasu i uprawnej  
ziemi, to można zostać dobrym Żydem i wuj  
Braunsztajn został nim w istocie. Rozumie się, że  
już więcej nie nosił, jak ja, chałatu, długiego do  
stóp. Przecież Wiekuisty Cewaot<sup>1</sup> mieszka tak da-  
daleko w siódmym niebie, że z takiej odległości  
śmiało mógł wziąć długi tużurek brandenburski za  
zniszczony, skrócony przez czas, chałat, który  
wuj Braunsztajn zamienił mimo płaczów i jęków  
jego drogiej Fradeli. Rozumie się również, że miał  
już twarz goloną (prócz podbródka), choć broda  
nigdy nieścianana, stara broda Starego Testamentu,  
najwięcej się Bogu podoba. Lecz wuj Braunsztajnu  
zostawał wierny przykazaniu i nigdy nie ścinał  
brody instrumentem żelaznym; posługiwał się  
jakąś maścią golącą, której co piątek w przeciągu  
godziny pozwalał schnąć na twarzy, a którą na-  
stępnie zdrapywał kawałkiem drzewa. Tak, za-  
pewniam was, wuj Braunsztajn pozostał dobrym  
Żydem! Tylko wejdźcie w jego położenie. Jeżeli  
się przebywało, jak on, w poufałości z hrabią,  
jeżeli się siedziało u niego w pokoju na fotelu

---

<sup>1</sup> Jedna z nazw Boga. (Przyp. tłum.).

złożonym, czyż można wtedy nie życzyć sobie, by własny syn przyjął ten ton, ten wyraz swobody i wolności, którego nie można mieć w chałacie, ani nawet w tużurku brandenburskim? A tego wszystkiego nie można się nauczyć w chederze ani w jeszybocie. Tego się nie uczy w hebrajskim ani w żydowskim. Stary ubiór i stare obyczaje są dobre w dniach nędzy. Zajęcie, dzięki któremu powoli zdobywało się majątek, było dobre dla starych rodziców: Lekarz, adwokat, oto zajęcie, godne syna byłego rzeźnika, który ogołocił hrabiego. Wuj Braunsztajn posłał więc swego syna do liceum w Koloszwarze, a następnie do Budapesztu na uniwersytet. Obecnie syn rzeźnika Mojżesza był najlepszym adwokatem w Michkolszu, a kiedy stara Fradele jęczała, widząc, że szczególnie od czasu, jak się ożenił, jej syn już nie przestrzega obyczajów, wuj Braunsztajn odpowiedział jej: „Fradele, pociecho moja, wystarczy, że my ich przestrzegamy za niego. Jak możesz chcieć, ażeby młody człowiek, posiadający dwa tysiące włók ziemi, wegetował tak, jak my? Bóg doskonale wie, że człowiek tak zajęty, jak nasz syn, nie może przestrzegać wszystkich przepisów Prawa... A następnie, powiem ci, Fradele, Bóg również doskonale wie, że dzięki naszemu Men-

delowi Żydzi z Michkolszu zawsze wygrywają swoje procesy“.

Te historie i im podobne słyszałem ze sto razy. To też nie omieszkalem jak najszybciej opuścić tych dwóch starców; przeskakiwałem po cztery schody, by zamknąć się na mojem poddaszu i pławić się z rozkoszą w lekturze bezbożnej.

Kształcenie moich małych uczniów w niczem mi nie przeszkadzało. Wynajęto mnie na targu, ażeby zadowolić starą perukę i nauczyć jej wnuków trochę hebrajskiego i historii świętej. Resztą zaś edukacji zajmowali się nauczyciele chrześcijańscy. Byłem więc wolny i mogłem dowoli napełnić się wiedzą, skradzioną ongiś przez jakiegoś poganina u naszego króla Salomona.

W tym czasie ta wiedza była zamknięta dla mnie w pokoju Rudolfa i Ferdynanda (moi uczniowie tak się nazywali i domyślacie się, że ani stary Mojżesz, ani Fradele, nie wybrali tych imion!), w pokoju, gdzie moi uczniowie kuli trochę historii, geografji, arytmetyki i przyrody. Choć ta wiedza była bardzo elementarna, jednak co za szerokie horyzonty odkrywały mi te małe książeczki! Tego młodzieńca siedemnastoletniego

pogadanki, ułożone dla siedmioletnich dzieci, przyprowadziły o zawrót i wzbudzały ogromne pragnienie zdobycia coraz więcej, opuszczenia tej ścieżki za ciasnej, by móc wydostać się na drogę szerszą.

A jednak mimo tej chęci bezbożnej, podczas tej godzinki, poświęcanej dzieciom, z jaką przyjemnością wracałem jeszcze do starych rzeczy, które dotychczas wypełniały mi życie! Na tym gruncie czułem się mistrzem. Niema pytania, na którebym natychmiast nie znalazł odpowiedzi. Uczucie dumy i pewności zastępowały we mnie niepokój błędzenia naoslep pomiędzy myślami nieznanymi. Odczuwałem prawdziwe zadowolenie, znalazłszy się znów między temi starymi zwiędłymi rzeczami, tak, jak zawsze ma się przyjemność zanurzyć się w kąpieli rytualnej, choć zazwyczaj woda w niej jest brudna i wstrętna.

Niekiedy drzwi się otwierały. Mój Boże, czyż możliwe, że kiedyś otwierające się drzwi mogły mnie tak zmieszać! Dzisiaj wszystkie drzwi świata mogą się otworzyć za mną, a nie znajdują się ani jedne, które mogłyby zmienić mój humor... Więc drzwi się otwierały i coś obcego a wrogiego zarazem wślizgiwało się nagle do pokoju. Nie podnosiłem oczu. Lecz czułem tuż obok włosy koloru krzaku płonącego, szyję odkrytą, ramiona nagie

i palce, naładowane pierścionkami, słowem to, co mnie w dniu mego przybycia tak bardzo zakłopotowało. Tak samo, jak wtedy, żadne uczucie zmysłowe nie wzburzyło mej niemocy. Miałem jeszcze tę cichą i absolutną pogardę dla kobiet, jak wszyscy Żydzi, wychowani na nauce Talmudu. Ale zato wszystko w moim umyśle natychmiast zamierało i lodowaciało. Nie miałem już więcej chęci objaśniać dzieciom tych starych, pobożnych rzeczy, którym obecność matki zdawała się odbierać, dzięki jakimś strasznym czarom, całą poezję i prawdę. Nie mówiła nic, słuchała przez chwilę i odchodziła najczęściej bez słowa. Co, myślałem sobie, czy dlatego, że się opowiada przed Żydówką, ubraną na sposób pogański, wyjście z Egiptu, albo zburzenie Świątyni, albo wszystkie inne stare historie, czyż dlatego stają się mniej prawdziwe?... Mogłem sobie tak mówić, ale za każdym razem, kiedy przychodziła, a ja prawie objaśniałem dzieciom któryś rozdział z Biblii, zawsze odczuwałem to samo skrępowanie i wydawało mi się, że moja historia jest mniej prawdziwa.

Pewnego dnia Chanuki<sup>1</sup> przyłapała nas (mówię przyłapała, bo jej wizyty, choć były zupełnie

---

<sup>1</sup> Święto Makabeuszów. (Przyp. tłum.).

naturalne, robiły na mnie wrażenie niespodzianek), jak nauczałem jej dzieci gry, którą się uprawia w naszych miasteczkach z okazji tego święta. To jest coś w rodzaju gry w baka. Stary Braunschajn był obecny przytem. Stara peruka satynowa również asystowała przy tej rozrywce żydowskiej. Mnie samemu ta gra sprawiała dużo przyjemności. Lea Braunschajn, wchodząc, objęła jednym rzutem oka tę starą scenę ghetta i zwracając się ze złością źle hamowaną do starych i do mnie, rzekła: „Robicie z moich dzieci prawdziwych Żydów!“ i wyszła, trzaskając drzwiami. Nie słyszałem jeszcze jej głosu od czasu mego pobytu w jej domu.

Bywało niekiedy, że ojciec przychodził do pokoju swoich dzieci spędzić z nami kilka chwil. Przed nim nie czułem wcale zakłopotania. Jego milczenie, zamiast mrozić mi serce, ośmielało do mówienia. Odnajdowałem nawet w jego obecności moją chęć zabłyśnięcia i wykazania wiedzy, która w obecności jego żony wydawała mi się tak niemodną. Jego pytania wzbudzały we mnie stary spryt bochera. Zawiażywała się dyskusja między nami, prawdziwy pilpul nad kilku pytaniami trudnemi, a ponieważ w wiedzy hebrajskiej byłem silniejszy od niego, więc szybko z pobłażli-

wością przyznawał mi rację, ażeby nie zapuścić się w te krzaki talmudystyczne, z których trudno się wydostać. Dziwiłem się, że taki człowiek, jak on, znajdował jeszcze przyjemność w tego rodzaju wycieczkach.

Z wyjątkiem tych chwil, kiedy zadawałem swoją próżność, wszystko, co mi przypominało jeszybot, stawało się coraz bardziej wstrętne. Gdzie i jak znaleźć drzwi, otwór lub jakąś dziurę, przez którą mógłbym się wślizgnąć do rozległego państwa, stworzonego w mojej wyobraźni, przez Węża w okularach. Książki moich małych uczniów już mi nie wystarczały. Czytałem je i odczytywałem, umiałem je napamięć, jak dobry talmudysta może znać swój Talmud. Potrzebowałem innego pokarmu. Nie mogłem dłużej znieść gwałtowności mego pragnienia, ani pustki strasznej, w której się znajdowałem. Poszedłem więc jednego dnia pukać do drzwi gabinetu adwokata.

Widziałem tylko dotychczas biblioteki rabinów, nędzne, zakurzone etażerki, gdzie, jedne na drugich, leżały zmęczone tomy i zatłuszczone świecami, śmierdzące tabaką do wachania, księgi, które przez wieki wystarczały dla zaspokojenia ciekawości Izraela. Byłem niemało olśniony, kiedy, wszedłszy do gabinetu, ujrzałem na ścianach tyle

książek różnych kształtów, kolorów i wielkości, dobrze ułożonych na półkach z czarnego drzewa. Przez kilka chwil zdziwienie i podziw zatrzymały mnie nieruchomo na progu. Czyż właściciel tego skarbu odgadł przyczynę mego wzruszenia? Złożył je pewnie na karb mojej nieśmiałości, choć powinien był wiedzieć, jak ja, że nieśmiałość nie jest cechą naszego charakteru. Z uprzejmością zapytał się o cel mojej wizyty. Czy miałem na coś narzekać? A może dzieci niedobrze się zachowały względem mnie? Mogłem mówić swobodnie... Przyjęcie tak życzliwe powinno było mnie zadowolić. Trzeba było tylko powiedzieć: „Przyszędłem pana prosić o książki“. Zamiast tego wygłosiłem całą przemowę, nawet niebardzo oryginalną, ponieważ tę samą miał sześć miesięcy temu Józef Hirszman u rabina w Homonie. Słuchał mnie grzecznie, jak człowiek, przyzwyczajony słuchać wyjaśnień swoich klientów, a kiedy skończyłem, nie zauważyłem w jego oczach ni łez, jakie Józef Hirszman wycisnął rabinowi, ni uciechy, jaką moje pragnienie wiedzy powodowało ongiś u Węża w okularach, pod akacjami na równinie. Z jego twarzy nie można było wyczytać żadnej myśli, a trudno jest zgadnąć, co ma oznaczać regularne uderzenie rozcinaczem papieru o bibułę...



Nareszcie rzekł: „Widzę, mój chłopcze, że ty również chcesz być nieszczęśliwy“. A następnie, po chwili milczenia: „Jak chcesz... Może masz rację. Nawet myślę, że masz rację“... Te słowa głęboko mnie zdziwiły. Wyobrażałem sobie tę rozmowę zupełnie inaczej. Zdawało mi się, że człowiek, który nie zachował obyczajów, który miał dokoła siebie tyle książek, który przyjmował dla swoich dzieci wychowawców chrześcijańskich i który nawet nie nosił w swoim gabinecie jarmułki na głowie, słowem, myślałem, że taki Epikurejczyk inaczej przyjmie moje wyznanie. Wyobrażałem sobie, że moja przemowa zadziwi go, co więcej, rozentuzjazmuje. Czyż nie pięknie chcieć być, jak on, Żydem wykształconym, umieć to, co Żydzi znają i czego chrześcijanie uczą? A on mi odpowiada: „Chcesz więc być nieszczęśliwy!“ Nieszczęśliwy, dlaczego? Nieszczęśliwy, jak? Bardzo głupia myśl przyszła mi do głowy, że syn wuja Braunsztajna chciał zazdrośnie zatrzymać wyższość wiedzy dla siebie, ale ta myśl nawet nie miała czasu utrwalić się we mnie, gdyż dodał natychmiast, nie przypuszczając nawet, czem mnie darzy: „Wszystkie książki, jakie się tu znajdują, są do twojej dyspozycji“, i wstając z fotelu, wyszukał mi kilka. Podziękowałem mu w sposób, który mógł ująć za

obelgę, ale dobrze odpowiadający mojemu stanowi uczuć: „Dobrze, rzekł, nie dziękuj mi, niema zaco“.

Z książkami pod pachą, spiesząc się, by je czem prędzej otworzyć i napełnić się ich zawartością, szczęśliwy i lekko zbity z tropu nieoczekiwanem przyjęciem, którego przyczyn nie rozumiałem, podążyłem do mego pokoju, gdy na schodach spotykam matkę i jej dwoje dzieci, wychodzących na spacer. Jak zawsze, i tym razem nie uszedłem zakłopotaniu, które mnie ogarniało zwykle w jej obecności. Ale kiedy zazwyczaj w tem zakłopotaniu była irytacja i niepokój (a może jeszcze coś, wtedy tego jeszcze nie wiedziałem) tym razem ono było przyjemnością i dumą. Pragnąłem z całej duszy, byłbym oddał przypuszczam moje życie (choć my pragniemy życia więcej, niż inni ludzie), ażeby się zatrzymała, ażeby spostrzegła moje książki, ażeby mi powiedziała byle co, bym jej mógł odpowiedzieć, mieć przed nią również przemowę, odkryć jej całą głębię mej duszy, powiedzieć wszystko to, co tak mało wzruszyło jej męża, och, to bardzo proste, oświadczyć jej miłość, miłość dla nauki zakazanej! Wszystko to wichrzyło się w mojej głowie, gdy tymczasem ja i moje książki przyciskaliśmy się do muru, by jej zrobić

przejsie. Rzuciłem jej spojrzenie błagalne, które powinno było ją przygwoździć i zmusić do pytań, jedno z tych spojrzeń grzechu, które przerywa w niebie koncert serafinów. Zdawało mi się przynajmniej, że to wszystko było w moich spojrzeniach, ale dziś nie jestem wcale tego pewien, czy nie pokazałem jej twarzy purpurowej i biednego, wylęknionego spojrzenia.

Ona była już na dole, a ja ciągle jeszcze stałem na miejscu. Wszedłem do pokoju z sercem pełnym słów, których jej nie powiedziałem. Usiadłem przy oknie i zostałem tak w zamyśleniu, nie otwierając nawet książek, które przed chwilą jeszcze były mi światem całym. Znowu mnie upokorzyła. A upokarzała mnie nadewszystko nie jej pogarda. Przyzwyczajony, dzięki mojej edukacji, uważać kobiety za istoty niższe, powinienem był nią pogardzać więcej, niż innemi, ponieważ nie miała już w sobie nic żydowskiego (przynajmniej tak mi się zdawało). Otóż, bywało odwrotnie: nie pogardzałem nią, nie mogłem nią pogardzać i to mnie upokarzało. „Dlaczego ona się nie zatrzymała, mówiłem sobie. Wszystko byłoby się dla mnie zmieniło“. Nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że było niemożliwem, ażebym jej został obojętny z chwilą, gdy odkryje, że wcale nie jestem tem,

czem ona sobie wyobrażała, małym Żydem, nie-  
okrzyszonym i dzikim. Zdawało mi się, że mogę  
się stać dla niej grą, osobliwością, czemś w rodzaju  
bąka, któregośmy obracali kilka dni temu z dziećmi,  
oczekując, na jakiej cyfrze się zatrzyma, parzystej,  
czy nieparzystej... Ażeby się pocieszyć, że przed  
chwilą nie mogłem z nią mówić na schodach,  
chwyciłem się nadziei, że napewno mąż jej opo-  
wie o mojej wizycie. Wyobrażałem sobie tę scenę.  
Wyobrażałem sobie, że jej powie: „Wiesz, Lea,  
nasz młody rabin chce pójść na złą drogę (och,  
jak bardzo podobała mi się ta myśl, że on jej tak  
powie! Jakby mnie to podniosło w jej oczach!).  
Przyszedł prosić mnie o książki i miał przemowę  
wcale nie ortodoksyjną“. Albo coś podobnego...  
Lecz natychmiast zjawiała się myśl, że może jej  
wcale nic nie powie, albo, jeżeli będzie mówił,  
to mogę się mylić co do skutków, jakie to pocią-  
gnie, ponieważ wszystko, co sobie wyobrażałem  
o jej poglądach na ludzi i rzeczy, było stałą  
sprzecznością.

Nazajutrz po tym niezapomnianym dniu, w któ-  
rym po raz pierwszy widziałem w bibliotece  
książki, ustawione prostopadłe (ponieważ w poko-  
jach u naszych rabinów i w naszych jeszybotach  
tomy są ułożone jedne na drugich, na starą mo-

dłę wschodnią), po tym dniu niezapomnianym, udałem się, jak codzień po południu do pokoju moich uczniów, niosąc pod pachą mój Pięcioksiąg i jedną z książek, które mi adwokat pożyczył. Położyłem na stół tę ładną książkę złoconą, o grzbiecie czerwonym, jako godło, prowokację, wezwanie lub szarżę, którą ongiś w starej Judei kapłanki Astarty machały pod drzewami oliwnymi, by skusić Żydów do kultu zabronionego.

Przyszła kilka minut przed ukończeniem lekcji. Nie odwróciłem głowy, lecz zamiast czuć, jak wczoraj na schodach, mroźny prąd powietrza i obecność istoty wrogiej i obcej, miałem wrażenie, jakby to nazwać, że nie jestem sam na świecie. Skończyłem to, co zacząłem objaśniać dzieciom, i wtedy mój naiwny manewr okazał się niepłonnym. Zbliżyła się do stołu, na którym niemożliwym było nie zauważyć między książkami szkolnymi tego sławnego tomu o czerwonym grzbiecie.

— Reb Jakób, — rzekła tonem poufałym, którego dotychczas nie używała, — widzę, że lubicie czytać. Co za książkę tu macie?

Wzięła ją do ręki, spojrzała na tytuł i z miną dość lekceważącą oddała mi ją, mówiąc:

— My wam wyszukamy lepsze książki. Mój

mąż jest bardzo zajęty, zwracajcie się więc do mnie. Ja wam dam to, czego wam trzeba.

Powiedziała mi to, albo coś podobnego. (Podziwiam ludzi, którzy pamiętają dokładnie słowa, jakie do nich się mówi. Ja zachowuję tylko dźwięk, jakby w jakimś magicznym instrumencie, albo raczej wrażenie, jakie słowa na mnie wywierają, gdy tylko doszły do mego ucha). Z całej tej ładnej przemowy, wygłoszonej przed jej mężem, którą chciałem również przed nią wygłosić jednego dnia, ani jedno słowo nie przyszło mi na usta. Bąkałem tylko, że wszystko, co ona łaskawie zechce mi przynosić, będę czytał z rozkoszą.

— Liczcie na mnie, — odpowiedziała głosem, który więcej przypominał ton Węża w okularach, niż jej męża.

Węża w okularach! Jak można porównać głos tego starego poczciwca do tego czaru! Akacje na równinie do tego szarego pokoju, który stał się nagle rajskim i gdzie zostałem teraz sam, znieruchomiony ogromem szczęścia.

Dziś doskonale zdaję sobie sprawę, że tylko moja nieznanomość ludzi czyniła żonę adwokata Braunsztajna tak interesującą w moich oczach. W rzeczywistości Lea Braunsztajn nie miała wię-

cej tajemniczości w sobie od starej peruki satynowej. Spostrzegłem się później, że była typem bardzo powszednim; tem, czem najczęściej się stają kobiety żydowskie, z chwilą, kiedy wyszły z ghetta. U nas kobieta jest zarazem wielką siłą konserwatyzmu i przewrotu. Jeżeli ją przeznaczenie zatrzymuje w jej środowisku naturalnem, wtedy dzięki skrupulatemu przestrzeganiu tysięcy praktyk, dotyczących się ubiorów, jedzenia i najmniejszych uczynków życia codziennego, zachowuje nas ona w tem odosobnieniu, w tem skurczeniu się w sobie samych, dzięki któremu tworzymy jeszcze rasę pośród innych narodów. Lecz tym Rebekom i Rachelom, którym bez wątpienia zawdzięczamy nasze istnienie, religja przyznaje miejsce bardzo nędzne. Ni Biblia, ni Talmud nie uznają kobiety wobec Boga. Modlitwa kobiety nigdy nie interesowała Wiekuistego! Żydówka zawsze zostaje usunięta do swoich drobnych praktyk rytualnych, w których jej serce może znaleźć radość, ale w których jej inteligencja nie znajduje żadnego pokarmu. Dlatego też, jak tylko wychodzi z ghetta i z tego życia tradycyjnego, które ją otaczało tysiącami nici niewidzialnych, wtedy daremnie szuka w sobie prawdziwego uczucia religijnego. Stare obyczaje wydają się jej nie do tolerowania i śmieszne. Wtedy

kobieta jest jakby pustą formą, gotową przyjąć to, co odkryje jej naturalna ciekawość i przypadki życia!

Nasze Prawo, które nie zostawia mężczyznom ani chwili w spokoju, nie zajmuje się wcale edukacją kobiet. W rodzinach bogatych mieszczan często się widzi młode panny, wychowane w klasztorach katolickich. Wielki i cudotwórczy rabin z Zadej-Góry naprzykład, którego synowie nosili, jak ja, chałaty i pejsy i byli uosobieniem Prawa, miał pięć córek, które się ubierały podług mody wiedeńskiej, grały na pianinie, jeździły konno, mówiły po francusku i czytały powieści, słowem, nie miały nic do pozazdrosczenia bohaterkom Oktawa Feuillet'a<sup>1</sup>. Wyobraźcie sobie konflikt, jaki powstawał, kiedy taka panna poślubiła młodzieńca, który nie był, jak to się mówi, w modzie. Wtedy albo siłą rzeczy musiały wrócić do obyczajów stuletnich, albo, co częściej się zdarzało, nawracały mężów na myśli obce.

Lea Braunsztajn nie miała trudu w wyciąganiu Żyda nieokrzesanego z głębin Talmudu, ponieważ stary Mojżesz wychował swego syna w liceum

---

<sup>1</sup> Octave Feuillet: powieściopisarz francuski, żył od roku 1821—90. (*Przyp. tłum.*).



w Budapeszcie. Lecz jeśli adwokat zachował w swoim sercu starą czułość dla tyłu rzeczy, w które przestał wierzyć, żona jego była zdecydowanym wrogiem wszystkiego, co należało do tradycji. Teraz prawie codziennie przychodziła po lekcji rozmawiać ze mną. Z przestrawieniem słuchałem, jak mówiła o Bogu żydowskim, jak o jakiejś istocie nerwowej i fantastycznej, pełnej głupiej złości, jak nazywała nasze księgi święte, tanią imaginacją, w której człowiek inteligentny dopatruje się tylko bajek, podobnych do tych, jakie się spotyka u wszystkich narodów. Dla mnie, choć lubiłem dyskutować i umiałem wynajdywać argumenty druzgocące, jednak prawdziwość faktów biblijnych nie była nigdy przedmiotem uwag, a jeszcze mniej krytyki. Wszystko, czego mnie nauczono, tworzyło pasorzytniczą naukę rozpraw i objaśnień, która rozwinęła się, jak liszaj, na niezachwianym dębie Pięcioksięgu Mojżesza. Nad jego komentarzami można było dyskutować bez końca, ale Pięcioksiąg zostawał ponad wszystkie dysputy. Nie mogłem zrozumieć, jak Żydówka ośmielała się poddać Torę pod dyskusję i ta zachwałność wydawała mi się monstualną i upokarzającą zarazem. Tak, czułem się upokorzonym, że byłem mniej śmiały od niej i jednocześnie spo-

kojny, bo miałem ją przed sobą na tej drodze nieznaney, na którą wkraczałem.

Ona oddawna kroczyła już tą drogą. Opowiadała mi, że, będąc jeszcze dzieckiem, w miasteczku nawpół żydowskiem i nawpół chrześcijańskim, gdzie się wychowała, wszystko, co było chrześcijańskie, wydawało jej się wyższe. Kiedy w sobotę wychodziła ze swoim ojcem, ubranym w chałat i w czapkę futrzaną, bywała tak zawstydzona przed dziećmi chrześcijańskimi, że przez cały tydzień modliła się, ażeby deszcz padał i uniemożliwił spacer... Jednej niedzieli spotkała procesję na ulicy. Była tego dnia ze służącą chrześcijańską (u Żydów służba jest zazwyczaj chrześcijańska, Żydówka niechętnie wynajmuje się do pracy domowej). Wszyscy uklękli przed chorągwiami i świecami, i ona również to zrobiła, szczęśliwa, że nie będzie uchodziła za Żydówkę. Innym znów razem podczas święta ta sama służąca zabrała ją do kościoła. Świece, obrazy, ołtarz, to piękno zewnętrzne, którego nasze bóżnice są pozbawione, ta dekoracja religijna nappełniła ją szczęściem. Bóg, którego czczono tu, jakież był miły! „W nocy, mówiła, miałam sen. Widziałam Jezusa Chrystusa, schodzącego w świetle księżyca, unoszącego się z ramionami wyciągniętymi; ubrany był w biel aż do

stóp, bez towarzystwa aniołów, sam jeden i dla mnie jedynie. Padłam na kolana, krzyząc: „Panie, odejdz, nie kuś mnie, ponieważ chcę zostać dobrą Żydówką! Odejdz, Jezusie, odejdz!” — „A on mi odpowiedział: „Pozwalam ci wierzyć we mnie, nie grzesząc przeciw Bogu Izraela, albowiem jestem synem Boga Żydów i jednego dnia cały Izrael uwierzy w moją boskość“. Obudziłam się w okropnym stanie, zwątpiłam, czy to był tylko sen i chciałam umrzeć“...

Lecz ze wszystkiego, co opowiadała Lea Braunschtajn, najdziwniejszem, myślę, było następujące zdarzenie. Ojciec jej był chory, a ona została oprowadzona ogromem pragnienia wołania kogoś na pomoc, modlenia się. Ale kogo tu wołać? W niebie żydowskiem wszystko było dla niej tak dalekie! Ona tam nie знаła nikogo! Wtedy, z pióra i linijki szkolnej zrobiła krzyż i rzuciła się przed nim na kolana. Nagle poczuła wyrzut, że modli się do Boga chrześcijan, że tak często czerwieniła się z powodu chałatu i czapki futrzanej, i popsuła krzyż, wyrzucając pióro i linijkę przez okno.

Dziś, Lea Braunschtajn nie wierzyła już w nic. Żydówka, która wyzwoliła się z religii stuletniej, nie zostaje długo w nostalgii chrześcijańskiej. Nie wierzyła w nic — co zresztą wydawało mi się mniej

inonstrualne, niż gdyby wierzyła w bóstwo, które przyjmowało naprzemian kształty zwierzęce gołębia, ryby, albo baranka.

Było to w pierwszych dniach lata. Ja w moim smutnym, czarnym chałacie słuchałem jej. Przed nami było pole pełne słoneczników. Ona stała przy oknie. Jej głowa o włosach farbowanych była podobna w świetle zachodzącego słońca do bukietu wspaniałych kwiatów. Kobieta jeszcze młoda, zmysłowa, jak są Żydówki i młodzieniec osiemnastoletni, oboje sami, o zmroku, przed polem okwieconem, nieprawdaż, wszystko gotowe dla awantury miłosnej? Lecz nie. U dołu tego obrazu, jaki tworzyliśmy oboje, możnaby było z większą pewnością napisać to objaśnienie: „Młody, nieokrzesany Żyd z Górnych Węgier, przyjmujący od Żydówki trzydziestoletniej lekcję niedowiarstwa“.

Jeszcze jeden raz kobieta podawała chłopcu błyszczące, zielone jabłko. Jeszcze jeden raz fabuła Ewy powtarzała się w tym pokoju, przed polem, pełnem słoneczników.

Kiedy Adam skosztował jabłka zakazanego, wygnano go z Raju ziemskiego nago. Ja, szczęśliwszy od niego, zarobiłem na tem marynarke, ka-

mizelkę i spodnie, które wzbudziłyby podziw u Dan-  
dysa. Ażeby wejść krokiem radosnym do tajemnic  
Zachodu. Żyd z Europy wschodniej musi wstąpić  
przedewszystkiem do tandeciarza. Bywają zresztą  
myśli, za którymi nie można podążać w chałacie.  
W tych to sklepikach, gdzie są zawieszone zno-  
szone odzienia, jak ciała, które oczekują zmar-  
twychwstania, zmienia się kształty i duszę. Wcho-  
dźcie dobrym Żydem, takim, jakim was wieki  
uczyniły, w starej skorupie, która wam służyła za  
obronę przeciwko obcym myślom, a czem czło-  
wiek się staje? Czem przedewszystkiem się staje,  
kiedy znów przekracza się próg i jest się na ulicy  
w marynarce, spodniach, kołnierzu, krawacie i ka-  
peluszu, który ma tylko imię wspólne z tą okrą-  
głą czapką, która dotychczas trzymała się waszej  
głowy, jak wasz nos i wasze uszy?

Ja nie doznałem tego trudu wstąpienia do  
tandeciarza. Lea Braunsztajn podjęła się sama speł-  
nić cud mego przeobrażenia! To ona wzbudziła  
we mnie tę chęć, a raczej nadała formy żyjące  
tej chęci, którą oddawna już żywiłem. Oddawna  
już w jej obecności nie nosiłem kapelusza. „Śmiało,  
jeszcze jeden wysiłek, mówiła, jesteście trochę  
mniej śmiesznym, niż w dniu przybycia. Kiedy  
zrzucicie ten straszny worek czarny, zobaczycie,

że istnieją tysiące rzeczy, które lepiej zrozumiecie“.

Pewnego dnia, wchodząc do mego pokoju, znalazłem na krześle wspaniałe ubranie koloru zielonkawego. Było dobrze ułożone i bardziej czarujące, niż wszystkie książki bezbożne. Czyż ono nie było szatą wszystkich myśli zakazanych? Naturalnie, że zapomniałem już o wszystkich ubiorach, wszystkich kolorów i form, jakie nosiłem w swoim życiu. Ale jak tu zapomnieć o tem ubraniu zielonkawem, którego każda nić przedstawiała sobą grzech? Nie, nie czekałem długo, by je włożyć na plecy! Leżało, jak ulane. Chodziłem po pokoju, oglądałem się w lustrze i zdawało mi się, że wszystkie słoneczniki również mnie oglądają. Jakaś gorączka nieznana uderzała mi w skronie i zaczerwieniała twarz biednego bochera talmudystycznego, tak długo źle odżywianego. Czułem, że staję się innym człowiekiem. Och, teraz rozumiałem, co tak przyśpieszało bicie serca Dandysa na drogach żebraczych, kiedy wkładał swój kołnierz z krawatem!

A jednak, przez wiele, wiele dni nie ośmielałem się pokazać tak zmienionym przed nikim, a przede wszystkim przed Leą. Codziennie, na godzinę lub dwie, wkładałem ubranie zielon-

kawe. Przyzwyczajaliśmy się wzajem jedno do drugiego, ale kiedy wychodziłem z pokoju, natychmiast je zdejmowałem. Czyż miałem wrażenie, że w tym nowym ubiorze okłamywałem sam siebie? Albo może opóźniałem chwilę, kiedy trzeba będzie pokazać się przed Leą Braunsztajn w tej nowej formie, ażeby nie dać jej pewności, że odniosła nade mną zwycięstwo za łatwe? Dopóki nosiłem stary chałat, miałem na swoją obronę całą siłę Izraela. W dniu, kiedy go zrzucę, będę, jak Samson, obdarty z włosów, na łasce Dalili.

Moja Dalila odgadywała nurtujące we mnie uczucia i przez cały miesiąc może nie było mowy między nami o tem sławnem ubraniu zielonkawem. Ale ono trzymało się między nami, niewidzialne, jak trzecia osoba. Tak jednak nie mogło trwać dłużej. To ubranie nie mogło nadal prowadzić czegoś w rodzaju podwójnego życia: jednego jako ubiór w szafie, a drugiego, jako istota nieuchwytna, która mieszała się do wszystkich naszych rozmów. To niezdecydowanie umysłu, które czasami przypada do gustu mężczyznom, bo znajdują w tem jakiś tajemny czar, nie podoba się kobietom. Ubranie jest ubraniem, czemś, co się wkłada na plecy. Ażeby wyrwać ubiór zielonkawy z tego stanu nierealnego, w którym, zda-

wało się, chciałem go siłą zatrzymać na zawsze, Lea Braunsztajn zaprosiła go (mówię go, ponieważ w rzeczywistości zaprosiła ubranie, a nie mnie), by przyszedł na herbatę, nazajutrz we wtorek, w dniu przyjęć.

Och, co za noc, co za poranek! Czyż mogłem pokazać się w jej salonie w moim czarnym chałacie, pokrytym niezliczonymi plamami dotychczas niespostrzeżonymi, i dźwigającym w swojej tkaninie wieki nędzy żydowskiej? Przyzywałem na pomoc Torę, Talmud, wspomnienie moich rodziców i melancholję starego rabina z Homony. Ale dobrze wiedziałeś, Jakóbie, że to była tylko komedja, którą grałeś sam przed sobą! O tej godzinie jedyne uczucie, które mogło mnie jeszcze powstrzymać na tej pochyłości, po której się nie wraca, to wstyd, że ulegam kobiecie; ale w miarę, jak się chwila zbliżała, ten wstyd stawał się mniejszym od chęci podobania się. Rozpiąłem chałat i zdjąłem go z pleców. Upadł na podłogę, jak nędzny łachman. Poco było wybierać u tandeciarza w Marmaros, między tyloma ubraniami znoszonymi, właśnie to, które kiedyś już nosił Żyd, czytający „Różę Saronu“ i który sprzedał może swój ubiór stuletni, ażeby sobie również kupić komplet zie-



lonkawy... Ale w tej chwili, mając stary chałat u nóg, nie myślałem o tem wszystkiem. Włożyłem ubranie zielone ze złością, ułatwiającą jedynie młodzieńcowi, który zawsze nosił szal, zawiązanie krawatu. Kiedy nareszcie rozwiązałem ten delikatny problem życia zachodniego, zszedłem do salonu; co mówię: do salonu! — wkroczyłem do nowego wszechświata.

Moje wejście przeszło zupełnie bez uwagi. Lea Braunsztajn, zajęta swoimi świątłymi gośćmi, nie przemówiła do mnie słowa, jakby zwycięstwo, jakie odniosła nad tradycjami ghetta, było dla niej bez znaczenia. Nie śmiałem zrobić kroku. Talmud opowiada, że, kiedy królowa Saba przybyła z głębi Etjopji z wizytą do króla Salomona, zastała go na tronie w środku sali, której podłoga była zrobiona z luster o połysku tak przeźroczyстым, że myślała, iż Aron stoi na wodzie, i chcąc zbliżyć się doń, podniosła dół sukni... Byłem prawie w tem samym położeniu. Trzymałem się nieruchomo na podłodze froterowanej i byłem również gotów podnieść chałat, chcę powiedzieć spodnie! Stałem więc nieruchomo, szukając, czegoby się uczepić wśród tych nieznamomych, po większej części chrześcijan, albo, którzy za takich chcieli uchodzić. Nagle mój wzrok napotkał

jakieś plecy lekko zgarbione, żakiet, o ile mogłem sądzić, skrojony bez zarzutu, kołnierz olśniewający i krawat, którego nie mogłem zobaczyć, ale byłem tego pewny, że miał czerwone punkty. Natychmiast żakiet zamienił się w chałat, lakiery w buty, a kołnierz nieskazitelny przyjął kolory starej fajki. Nie widziałem jego twarzy, ale byłem pewny, że to on! To był on, Jonatan, Naum Szyff, Dandys, dawny kaznodzieja podróży paschowych! W środku tego salonu chrześcijańskiego błogosławiłem Izraela, że zesłał go dla mnie. Och, jak daleki byłem od dawnej mojej urazy do niego! Jak zapomniałem w radości, że mnie kiedyś opuścił, zabierając pieniądze a zostawiając mi wzamian świerzbę! Z jakim uniesieniem całej mojej istoty zbliżałem się do niego! Teraz widziałem już jego twarz. Nie było wątpliwości, nie omyliłem się. Nie monokl w oku, ani krawat bez punktów czerwonych, ani inne detale małoznaczące, przeszkadzały mi w rozpoznaniu Dandysa! Zupełnie odwrotnie, zdawało mi się, że zawsze widziałem go takim, jak dziś. Na drogach piątkowych, czyż nie tego młodzieńca widziałem, o którym on śnił? Rozmawiał z kimś, musiała to być ważna osobistość (było dużo ważnych osobistości w Mięhkolszu, a szczególnie u Lei!). Rozpoznałem

u mego dawnego kolegi jego ton, autorytet, podziwu godny, którym imponował nam jeszcze w jeszybocie w Szuranie i te gesty, te gesty, których nigdy nie zdołamy się wyzbyć! Zdawało mi się, że rozmowa nigdy się nie skończy, i że oczy mego kolegi, które wzywałem całą siłą magiczną, jaką może posiadać wzrok, nigdy nie zwrócą się w moją stronę. Te oczy zatrzymywały się wszędzie, tylko nie na mnie. A kiedy nareszcie napotkały moją osobę, nie wyrażały ani radości, ani zdziwienia, a jeszcze mniej kłopotu i żenady z powodu starych wspomnień. Dosłownie, nie wyrażały nic. Ale narazie byłem tak zadowolony, widząc w nim, wśród tego świata obcego, całe moje życie przeszłe, że jego chłód nie zmniejszył radości, jaką odczuwałem na jego widok. Gdy tylko został sam, podszedłem do niego. Och, Boże, czyż mam mu wziąć za złe, że mnie w ten sposób przyjął? W małym miasteczku, jak Michkolsz, jest trudno jakiemuś Naumowi przebywać poufale w towarzystwie chrześcijan! Ile trudu, ile zřeczności i zabiegów i ile giętkości, straszne, kiedy o tem się myśli! Kiedy się przebyło tyle przeszkód i kiedy się jest albo wydaje się być członkiem tego ciasnego koła, dla którego tyle poświęciło się rzeczy i kiedy wreszcie doszło się już do

tego smutnego stanowiska, wtedy, zupełnie zrozumiałe, że nie chce się widzieć jakiegoś współwyznawcy obok siebie. Jego sytuacja uprzywilejowana, jeśli można użyć tego określenia, wydałaby mu się zmniejszona. Sam drży bezustannie, ażeby przez niezręczność jakiś intruz czasami wszystkiego nie popsuł i otwarcie nie przypomniał innym tego, co z wielkim trudem samemu próbuje się zapomnieć.

Nie, nie mogę mieć urazy do Dandysa! W mojem zielonem ubraniu, które niewątpliwie czyniło mnie śmiesznym, dodawałem mu napewno mało otuchy. Śmieszność, rozlana na mnie w tonie zielonym, mogła i jego również dotknąć. Gdybym był w chałacie, byłbym go może mniej przestraszył, ponieważ między nim a mną nie mogłoby być żadnego porównania. Tak oto mój komplet zielony urządził mi pierwszy kawał. Z całkowitą grzecznością Naum pozbył się mnie i rzeczywiście nie mogę mu pod tym względem nic zarzucić. Ale, kiedy zostałem sam, miałem wrażenie, jakby po raz drugi mnie okradł. Okradł, to może za mocne, powiedzmy, że zabrał mi coś mniej materialnego, ale nieskończenie bardziej cennego, niż floreny paschowe.

Któż przyszedł mi z pomocą? Chrześcijanin.

Ponieważ żyje się tylko iluzjami, więc myślę o nim z przyjemnością. W tym dniu pamiętnym on dał mi największe iluzje mego życia, iluzje, że interesował się mną dla mnie samego. Zachwycający Eugenjusz Peterfi! Nigdy nie dowie się, co za entuzjazm, co za radość, co za dumę wlał we mnie tego dnia! Gdyby zażądał, bez zastanowienia byłbym mu wtedy oddał życie. My już jesteśmy takimi głupcami! Był to młody szlachcic, jakich dużo na prowincji węgierskiej, jeden z tych ludzi drobnej arystokracji o umyśle mało szerokim, ale o manjerach miłych, ludzi, którzy nam służą, z początku poto, by ich ogołocić, a następnie, by naśladować, co szczęściem dla nas nie w zupełności nam się udaje. On zdawał się znać dużo rzeczy z mego życia. Widocznie ktoś mówił mu o mnie. Rozmawiał ze mną z wdziękiem, a ja w mojem naiwnem osamotnieniu i pragnieniu, by w trójnasób zwrócić mu to, co dla mnie czynił, chcąc łaskawie mówić do mnie, rozповідаłem z niepotrzebnem rozlaniam o życiu, jakie prowadziłem dotychczas. Słuchał, jakoby to wszystko miało dużo powabu dla niego. Na tem zebraniu, gdzie tyle było kobiet i mężczyzn godniejszych, by go zająć, powiedzianoby, że tylko mną się interesował. Mówiąc

do niego i słuchając go, czułem w mojem sercu tkliwość, wdzięczność, pokorę biednego stworzenia, jakiem byłem wobec tego młodego człowieka tak miłego, tak życzliwego i tak szlachetnego. Co też mi opowiadano? Cóż sobie wyimaginowałem? Chrześcijanie głupcami? Stworzeniami, niezdolnymi do uczucia ludzkiego i do myśli inteligentnej? Co za nieporozumienie! Wystarczyło tylko spojrzeć na tego Eugenjusza Peterfi, ażeby natychmiast zmienić przekonanie. Należało tylko zobaczyć prefekta z adwokatem Braunsztajnem, ażeby się przekonać, że jest inaczej. Jaktó. ten człowiek straszny, który jednym słowem mógł zamknąć wszystkie jeszyboty prowincji, rozmawiał z Żydem w sposób najbardziej przyjacielski! Stwierdziłem to na własne oczy. Pogarda dla Żydów istniała tylko w miasteczkach u ludzi grubiańskich. W wyższem towarzystwie, w które wszedłem dzisiaj, nie odkrywałem ani śladu tej pogardy. Zapragnąłem tem bardziej należeć do tego świata, w którym wszystko było delikatnością, subtelnością, przyjaźnią; a ponieważ szczytem elegancji było mówić po francusku, przysiągłem sobie nauczyć się natychmiast tego języka i zadziwić jednego dnia tych ludzi, biorąc udział w konwersacji w języku dobrego towarzystwa.

Pijany temi myślami, zapomniałem o rozczarowaniu, jakie spowodował Dandys. Co również w takim stanie entuzjazmu mogły mnie obchodzić wyrzuty starej peruki, gdy ujrzała mnie w nowem ubraniu? Ile jęków, ile skarg, powoływań na moją biedną matkę, na ojca, na Jerozolimę, na całe stare żydostwo! Ile wyzwisk dla jej synowej! Nienawidziła jej dostatecznie, by zgadnąć, że Lea miała dużo wspólnego z przyczynami tego nieszczęścia, które w mojej osobie spadało znów na cały naród Izraela. Szczęściem, że stary ją uspakajał: „Pociecho moja, — mówił, — zostaw go w spokoju. Ja też zrzuciłem chałat i Mendel również to zrobił i dużo innych włożyło już kołnierze z krawatami! Chcesz, ażeby ci coś powiedział? Nawet, jeżeli już nie będzie ani jednego chałatu na ziemi, Żydów jeszcze będzie dużo!“

Czyż to miał być drugi kawał, jaki ubranie zielone mi urządziło? Nazajutrz podczas lekcji, która była dla dzieci stałą rozrywką, uczułem jeszcze więcej zakłopotania, chcąc mówić o starych rzeczach, niż kiedy ich matka była obecna. Nareszcie, po skończonej męczarni, Lea Braunschajn napełniła mnie przede wszystkim radością,

oznajmiając, że wczoraj wszystko jak najlepiej przeszło, że, jak na pierwszy raz, nie okazałem się bardzo niezręcznym, i że zrobiłem najlepsze wrażenie na hrabi, jak go nazywała, nie wymieniając nazwiska. Ale nie było czego się mylić. W salonie Braunsztajnow był niestety tylko jeden hrabia; a był nim uprzejmy Peterfi.

Ja również zacząłem jej opowiadać, jak bardzo hrabia mnie oczarował, i natychmiast spostrzegłem, że to jej sprawiało przyjemność; i ażeby ożywić jej twarz i przedłużyć rozmowę, należało mówić o hrabi. Nie wiem, dlaczego, ale nagle uprzejmy Peterfi wydał mi się mniej miły. Im więcej ona o nim mówiła, tem mniej ja miałem chęci o nim mówić. Lecz to było tylko wrażenie, które natychmiast oddaliłem od siebie. Byłem nadal zadowolony z moich nowych doświadczeń i oczekiwałem nadejścia następnego wtorku, jak żeglarz, który pływa w jakimś archipelagu nieznanym i oczekuje ukazania się nowej wyspy.

A jednak zdarzały się w międzyczasie rzeczy, które rzucały cień na mój początkowy entuzjazm. Och, to nic nie było, prawie nic! Lecz chrześcijanki miały przy każdej okazji zwyczaj mówić: „U nas, moja droga Lea...“, co mnie zawsze na-



bawiało zakłopotania. To „u nas“ miało, sam nie wiem, czemu, coś tajemniczego i niepokojącego, co czyniło te dwa słowa niepodobnymi do innych. Próbowałem przekonywać siebie, że jestem głupcem nadmiernie wrażliwym i że ta niepokojąca tajemniczość jest tylko wytworem mojej imagacji i moich starych uprzedzeń. Mogłem sobie tak mówić, a jednak to obelżywe „u nas“ wracało bezustannie na usta chrześcijanek i dziewczęta dla mnie obco. Musiałem przyznać, że te dwa słowa stanowczo nie były podobne do żadnych innych.

Przyszło mi również do głowy, że chrześcijanie, którzy odwiedzali salon Braunsztajnow, nie mieli tych samych manjer wobec Żydówek, co wobec „ich“ kobiet. Zdawało mi się, że wobec Żydówek okazywali więcej swobody, a ze swej strony kobiety żydowskie okazywały się bardziej prowokacyjne, niż chrześcijanki. Zauważyłem to przedewszystkiem, obserwując Leę Braunsztajn i hrabiego. Możliwe również, że to mnie uderzało dlatego, iż przedewszystkiem bezwiednie, a następnie pomimo mojej woli, nic z ich ruchów, kiedy byli sami, i nic z ich słów, kiedy słyszałem, jak mówili, nie było mi obojętnem. Unikałem jednak przeciążania się temi myślami. Wi-

działem w tem jedynie pozostałości mojej starej żydowskości. Tyle razy powtarzano mi, że śmiech kobiety jest czemś tak niestosownem, czego Żyd nabożny powinien unikać! A przysłowie talmudystyczne: „Ręka na ręce nie zostaje czysta“ nie usposabiało mnie do zrozumienia swobody względem kobiet.

Lecz trudno jest być ślepym i głuchym, kiedy się ma oczy, które jasno widzą, i uszy, które słyszą. W tymże czasie zdarzyło się, że biskup djecezji przybył do Michkolszu podczas swego *tournée* pasterskiego, i całe miasto zostało wspaniale udekorowane na jego honor. Najładniejszą bramę triumfalną postawili Braunsztajnowie przed ich domem. To mi się nie podobało i byłoby mi się nie podobało w wyższym jeszcze stopniu, gdyby złość starej Fradeli nie zmusiła mnie patrzeć na to wszystko od strony komicznej. Ale ten łuk triumfalny przyczynił się niestety do czegoś więcej; otworzył mi oczy na fakty, które w rzeczywistości znałem, a o których wiedzieć nie chciałem. Następnego wtorku, po wizycie biskupiej, podśledzałem dialog, prowadzony przez dwie przyjaciółki Lei, które bynajmniej przede mną się nie kryły, albo może nawet chciały mi zrobić ten afront: „Ci Żydzi, mówiła jedna, są wcale nie-

wierzący. Czy pani widziała łuk triumfalny, jaki Braunsztajnowie wzniesli na cześć biskupa?“ — „Pani bardzo dobrze wie, odparła druga, że Jego Ekscelencja nie ma wierniejszych czytelniczek od naszej drogiej Lei. Ona pochłania wprost wszystkie jego listy pasterskie“. — „Och, zaczęła znów pierwsza, gdyby Żydówki nie miały mężów, byłyby szybko nawrócone“. — „Tak, przerwała druga, ale, jeżeli są żonate, to biorą hrabiego za kochanka, co również jest, pani przyzna, pewnego rodzaju nawróceniem“. Przyczem obie zaczęły się śmiać złośliwie i dwuznacznie, a ja opuściłem salon, upokorzony za nią i za siebie. Z sercem ściśniętem udałem się do mego pokoju, przeklinając świat, chrześcijan, Żydów, biskupa, łuk triumfalny, Leę Braunsztajn i mego przyjaciela, Peterfięgo.

Kiedy zacząłem już, niestety, rozumieć, że nawet w towarzystwie wyższem, jak na przykład w tym świetnym salonie w Michkolszu, stosunki między Żydami i chrześcijanami nie były w zupełności takie, jak to sobie naiwnie wyobrażałem, wtedy zdarzył się jeden z tych wypadków, o którym myślałoby się, że należy do jakiejś epoki oddalonej, i który powtarza się z fatalną regu-

larnością w coraz to w innym miejscu Europy wschodniej.

Tego roku, w tydzień przed Wielkanocą, jakaś młoda, czternastoletnia dziewczyna religii protestanckiej, Estera Solymosi, która służyła w jakiejś fermie z okolic miejsciny Tiszy-Eszlar, zginęła w sposób tajemniczy. Jej matka, która mieszkała w tej miejscinie, myślała, że jej córka z powodu niezadowolenia ze służby zmieniła miejsce i udała się do sąsiedniej gminy. Lecz po pewnym czasie, nie otrzymując żadnej wiadomości, zaczęła się niepokoić i pewnego dnia lamentowała przed jednym z sąsiadów, niejakim Józefem Szarfem, dozorcą bóżnicy. Ażeby ją uspokoić, opowiedział on, że za swego dzieciństwa znał chłopca, o którym przez dłuższy czas myślano, że zginął, mówiono nawet, że został zamordowany przez Żydów dla ich ceremonij paschowych, a który pewnego dnia wrócił, choć już nie oczekiwano go więcej. Ta rozmowa, powtarzana przez matkę zaginionej dziewczyny, poruszyła języki okolicy. Słowa Józefa Szarfa obudziły w umysłach historie, które się rozpowiada wieczorami o Żydach, że kradną dzieci przed Wielkanocą, ażeby zużyć ich krew do mac. Słychy, z początku niejasne, stawały się coraz głośniejsze. Oskarżono kilku Ży-

dów, mieszkańców Tiszy-Eszlar i kilku innych, którzy zebrali się tam z okazji Wielkiejnocy, o zamordowanie Estery Solymosi. Policja udała się tam. Syn Józefa Szarfa, dzieciak pięcioletni, który niewątpliwie miał podnieconą imaginację tem, co mówiono dokoła niego, opowiadał, że jego ojciec, dozorca bóżnicy, zaciągnął Esterę do swego mieszkania, że ją związał i zakneblował usta, a następnie zaniósł do bóżnicy; że tam ją zarznięto, a on, Salomon, trzymał miskę, do której wlewała się krew ofiary.

Na słowach tego dziecka oparto straszny proces, który wstrząsnął salonem Braunsztajnow, Węgrami i całą Europą<sup>1</sup>. Aresztowano dwudziestu Żydów, którzy znaleźli się w pierwszym dniu świąt w bóżnicy Tiszy-Eszlar. Między nimi znajdował się drugi syn dozorczy synagogi, młody Moryc, lat trzynastu, ale o budowie tak wątfiej i umyśle tak słabym, że możnaby go wziąć za dziewięcioletniego chłopca. Osiem dni później, o drugiej godzinie nad ranem, Moryc Szarf, po kryzysie epilepsji, uczynił z kolei w obecności urzędników policyjnych rewelację przerażającą. Bardzo szczegółowo opowiadał, jak pierwszego kwietnia o godzinie wpół do pierwszej

---

<sup>1</sup> Proces Tiszy-Eszlar odbył się na Węgrzech w 1882 roku.

udał się do bóżnicy, ażeby zamknąć drzwi po ukończonem nabożeństwie. Na progu spotkał trzy osobistości gminy: Abrahama Buksbauma, Salomona Szwarca, Leopolda Brauna i jakiegoś starego żebraka galicyjskiego, Hermana Wollnera. Kazali mu odejść i zostawić drzwi otwarte, ponieważ mieli jeszcze skończyć modlitwę. Moryc Szarf wrócił więc do domu, nie zamknąwszy drzwi. Jego ojciec stał przy oknie. Kazał synowi zejść i zawołać przechodzącą w tej chwili ulicą Esterę Solymosi, ażeby przyszła zdjąć lichterze ze stołu, ponieważ podczas świąt religja zabrania Żydom nosić cokolwiek w ręku. Moryc wyszedł więc na ulicę i zawołał małą Esterę, a ona, wróciwszy z nim, zdjęła lichterze ze stołu, weszła na krzesło i postawiła je na szafę. W międzyczasie wszedł żebrak galicyjski do pokoju i poprosił ją, ażeby z nim poszła do bóżnicy przesunąć kilka przedmiotów. Estera poszła z nim i piętnaście minut później Moryc Szarf usłyszał krzyki beznadziejne i wołania o pomoc, które pochodziły z synagogi. Pobiegł tam szybko i zastawszy drzwi zamknięte, zajrzał przez dziurkę od klucza. Ujrzał Esterę na ziemi, prawie rozebraną i przytrzymywaną przez dwóch, gdy tymczasem trzeci podcinał jej gardło nożem rytualnym. Następnie żebrak

galicyjski podniósł ciało ofiary, a rzeźnik gminy zbierał krew młodej chrześcijanki do dwóch mis glinianych i przelał ją później do jakiejś wazy. Po tym czynie ubrali zpowrotem Esterę.

Moryc Szarf wrócił do swoich rodziców i opowiedział im, co widział; nakazali mu milczenie. W godzinę później przyszedł żebrak galicyjski i kazał mu zamknąć drzwi synagogi. Poszedł tam natychmiast i nie znalazł już na ziemi żadnego śladu krwi.

Ta rewelacja nie miała żadnych podstaw. Wszystko w niej przeczyło sobie, wszystko krzyczało o kłamstwie. Dzieciak pięcioletni oświadczył, że on trzymał basen, do którego wlewała się krew Estery, gdy tymczasem jego brat twierdził, że to był Salomon Szwarc. Jeden mówił, że ojciec zakneblował Esterze usta, ażeby ją zanieść do bóżnicy, a drugi, że żebrak galicyjski zawołał ją, a ona poszła za nim. Co za prawda była w tem, że dozorca bóżnicy, mogąc sam słyszeć krzyki Estery, pozwolił swemu synowi pójść zobaczyć, co tam się stało? A gdyby ten dzieciak widział ten dramat, to jak to możliwe, że w godzinę później miał na tyle odwagi, by pójść zamknąć drzwi na klucz? Najbardziej zaś niedorzeczne ze wszystkiego — to absurdalność legendy, na której cały

proces był oparty, ta szalona wiara, że Żydzi używają krwi chrześcijańskiej do wyrobu mac. Tej legendy niedorzecznej od średniowiecza nic nie zdołało wykorzenić z imaginacji ludowej, ani niemożliwość, jaką zawsze napotymano, by udowodnić ją faktem, ani powtarzane oświadczenia koncyliów i papieży, że w naszych księgach świętych ani jedno słowo nie wykazuje cienia pretekstu religijnego do tak obrzydliwej praktyki.

Ten niesłychany „roman-feuilleton“, w którym się widziało dwoje dzieci, oskarżających własnego ojca, i w którym wszystko zdawało się być skoncentrowane poto, by podburzyć imaginację, wzniecił w całym kraju stare nienawiści, dotąd zapomniane. Na salonie Braunsztajnow proces odbił się, jak cyklon, unosząc z sobą wszystkich chrześcijan, jak liście. Żaden z nich nie przychodził więcej do Lei. Nawet piękny Peterfi pokazywał się bardzo rzadko. Przeszono jej się kłaniać na ulicy. Najmniej nieprzychylni zbaczali z drogi, by ją ominąć. Zawód napełniał ją bólem, wszystkie jej wysiłki poszły na marne. Tyle ustępstw zrobiła, tyle rzeczy zniosła bez słowa; to ją szczerze martwiło, bo chęć zaprzyjaźnienia się z chrześcijanami była u niej szczerą. Mimo upokorzeń, które oburzały jej dumę, uparła się



jeszcze w wierze, że było coś wyższego we wszystkim, co nieżydowskie, i w jej oczach ten niešťśliwy proces dowodził tylko jednego, że w Europie wschodniej tak zwani cywilizowani zostali jeszcze barbarzyńcami, ale że gdzie indziej tak nie jest.

Stara peruka satynowa triumfowała bezczelnie nad zawodem synowej. Spędzała czas na lamentowaniu nad tą nową raną, jaką Bóg zesłał Izraelowi, ale wkładała w to tyle zapału, że niekiedy zapytywałem sam siebie, czy w głębi nie była zadowolona z tego strasznego wypadku, który zdawał się dla niej być tylko oznaką boskiego gniewu przeciw jej obrzydłej synowej.. Stary Braunsztajn nie wiedział, co jej odpowiadać. Zakrywał się gęstym dymem fajki, i przypuszczam, że jego milczenie nie było zastanawianiem się nad smutnym losem Izraela, tylko gorzką rozważą nad obecną niemożliwością wychodzenia z miasta i zbierania dzierzawnego.

Syn zaś jego nigdy dotąd nie okazał takiego zainteresowania dla Talmudu. Spędzaliśmy razem godziny całe nad wyszukaniem tekstów, które udowodniały nedorzecznosc oskarżenia o mord rytualny i przekonywały, że obrzydzenie dla krwi, uważanej za coś nieczystego, jest właśnie jedną

ze znamiennej cech naszej religji; do tego stopnia, że nie wolno nam jadać kury<sup>1</sup>, jeżeli po zabiciu nie była moczona w wodzie słonej. Robiliśmy notatki, pamiętniki i artykuły, które adwokat drukował w jednym z dzienników miejscowych. Były one odpowiedzią na artykuły, pisane w innej gazecie, w których autor usiłował udowodnić cytatami, również wziętymi z Talmudu, że nienawiść do chrześcijan, wyrażona w wielu miejscach, wystarcza do wytłumaczenia zbrodni, podobnych do tej, o jaką nas obecnie posądzono. Moja znajomość Talmudu nadała mi naraz znaczenie nieoczekiwane. Czułem całą jego wartość. Może je wyolbrzymiałem, ponieważ w całej tej smutnej historii było coś, co mnie napełniało szczęściem, którego dobrowolnie nie byłbym się wyrzekł. Czy to było poczucie swojej rasy znieważonej, albo może uraza, spowodowana opuszczeniem tych ludzi, których ona uważała za przyjaciół? Lea Braunsztajn brała namiętny udział w naszych poszukiwaniach. Podtrzymywała z większą gorliwością, niżbym przypuszczał, obronę strony żydowskiej w tej aferze, a nawet wróciła na złość do starych obyczajów. Naprzykład teraz jadła w sobotę

---

<sup>1</sup> Nietylko kury, ale żadnego mięsa. (Przyp. tłum.).

przy jednym stole z teściami, czego oddawna już nie robiła. Naturalnie, że ja z tej racji, że byłem bocherem, odmawiałem błogosławieństwo i przodowałem we wszystkich przepisach tej ceremonii religijnej i rodzinnej. Przyznaję zresztą, że byłem trochę zakłopotany, wykonując w jej obecności wszystkie cudowne gesty antyczne, które mimo nowego usposobienia musiały jej się wydawać przestarzałe. Byłem jej wdzięczny, że okazała się więcej Żydówką, niż przypuszczałem, i że przytem nie wyrzekała się jednak upodobania do rzeczy obcych, któremi ja sam byłem oczarowany. Czułem jednocześnie, że stała mi się bliższą. Widywałem ją codziennie długo i nie bez zadowolenia myślałem, że wizyty Peterfiego staną się coraz radsze i skończą się może zupełnie. Słowem, trzeba to przyznać, nigdy nie byłem szczęśliwszy.

W historii Żydów, która nie jest wesoła, jedną z cech najbardziej zasmucających jest ta, że prawie bez wyjątku, za każdym razem, kiedy nas prześladowają, widzi się Żydów, występujących przeciwko swemu narodowi, widzi się ich podburzających, a nawet często prowokujących prześladowania. Jeżeli ten fakt jest haniebny, to jest

również rozumiały. Poza kilkoma uczonymi, któż zna hebrajski? Nikt. Dlatego w przeciągu wieków, za każdym razem, kiedy powstawało nieporozumienie między Żydami i chrześcijanami, nasi współwyznawcy zawsze dostarczali argumentów przeciw nam, opierając się na mniej lub więcej autentycznych tekstach Talmudu, którego nasi przeciwnicy nie znali. Lista tych renegatów była nieskończenie wielka. W Michkolszu również jakiś Żyd dostarczał jednej z gazet miejskich tekstów talmudycznych, na które Braunsztajn i ja odpowiadaliśmy. Tego Żyda znamy wszyscy, a ja znam go najlepiej. Czytając jego artykuły, które rzucały najstraszniejsze podejrzenie na naszą rasę, zdawało mi się, że słyszę jego głos, rozpoznawałem styl jego języka, sposoby dyskusji, wyuczone w jeżybocie, i naszą nadmierną zręczność używania słowa, by wyrażało to, co się chce. To był Naum Szyff, Dandys.

Pewnego dnia spotkałem go przypadkowo na ulicy. Chciałem go ominąć, ale to okazało się niemożliwe. Mimo wstrętu, jaki wzbudzał we mnie, zbliżyłem się do niego i bez żadnych wstępów zapytałem: „Naum, czy to prawda, że ty piszesz te straszne artykuły w gazecie w Michkolszy?” — „A ty,— odparł, wkładając monokl na oko,— czy to

ty pod nazwiskiem adwokata Braunsztajna drukujesz w „Kurjerze Komitetu“ te artykuły, które codziennie czytam z takim zaciekawieniem? One są doprawdy udane i przysparzają zaszczytu Reb Szapsie“. — „Zostaw żarty“, rzekłem i rozdrażniony jego spokojem krzyknąłem: „Naum, ty dobrze wiesz, że ta zbrodnia jest niemożliwa, że te dzieci zostały namówione, że każde słowo ich zeznań kłóci się z drugim, a przedewszystkiem dobrze wiesz, że nasza religja nie ma nic wspólnego z tem szaleństwem!“ — „Mój drogi, — odpowiedział mi, opuszczając swój monokl, — myślę przedewszystkiem, że wszyscy są zwarjowani, a to wyjaśnia już dużo rzeczy, a następnie, powtarzam ci, twoje artykuły są doskonałe“. — „Nie o to idzie, — przerwałem mu z uniesieniem, — idzie o to, by wiedzieć, czy są prawdziwe, czy fałszywe!“ — „Życie jest wielkim „pilpul“, — zaczął na nowo. Co jest prawdą? Co jest fałszem?“ — „Prawdę jest to, — odrzekłem, — ażeby nie gubić samych siebie!“ — „Ech, mój drogi, — zaśmiał się, — niszczy my samych siebie codziennie. Spójrz na siebie, czyż jesteś jeszcze Żydem?“ Pytanie to zraniło mnie w serce. Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. „Odpowiesz mi w gazecie!“, dodał żartobliwie. Ale był już daleko, kiedy zna-

lażem odpowiedź, jaką powinienem był mu dać: „Tak, jestem dobrym Żydem, bo wszystko w tobie napełnia mnie wstrętem!” — Tak, jestem dobrym Żydem! — ciągnąłem dalej, wchodząc do domu. Jestem dobrym Żydem! — powtarzałem jeszcze, by się lepiej upewnić. Lecz myśl dziwna (nie po raz pierwszy zrodzona) znów przeszła mi przez głowę: „Gdyby jakiś wypadek mógł udowodnić bezsprzecznie, że ta niedorzeczna bujda o mordzie rytualnym nie opiera się na niczem, czy chciałbyś, ażeby to się stało natychmiast, w tej chwili?” Jeszcze jeden raz oddaliłem tę myśl z niesmakiem. Ale oddalałem ją również dlatego, że, chociaż byłem przekonany o niewinności moich współwyznawców, jednak nie byłem pewny moich korzyści w przedłużaniu tej afery, której zawdzięczałem tyle chwil nieocenionych.

Właśnie w dwa dni później nieoczekiwana zmiana zaszła w procesie Tiszy-Eszlar. Znalezione w rzece ciało jakiejś młodej dziewczyny czternaścieletniej. Topielec zdał się być Esterą Solymosi. Lea przyszła natychmiast do mego pokoju oznajmić mi triumfalnie tę wiadomość. Podałem jej rękę. Po raz pierwszy trzymałem rękę kobiety obcej. Och, w tej chwili czułem w głębi serca coś innego, niż szczęście, powodowane wiado-

mością odnalezienia biednej Estery w Tiszy! Izrael triumfujący przemawiał mniej głośno od tej ręki kobiecej, od tego ciepła słodkiego, które odczuwałem po raz pierwszy i którego nigdy nie zapomniałem. Czy moja twarz wyrażała jakieś wzruszenie? Nie wiem, ale to bardzo możliwe. W każdym razie, jeżeli się zaczerwieniłem, to Lea Braunsztajn musiała to złożyć na karb radości, jaką sprawiła mi wiadomość o wydobyciu trupa z rzeki. Tak, napewno tak został przyjęty pierwszy w moim życiu odruch miłości.

Zdarzyło się jednak, że ciało, znalezione w Tiszy, nie było ciałem Estery. Przynajmniej matka jej nie poznawała, dlatego, że albo istotnie to nie było ciało jej córki, albo, co jest prawdopodobniejsze, została zapłacona, by jej nie poznać. Zawód nasz był wielki. Leę Braunsztajn szczególnie to przybiło. Spodziewała się, że nareszcie wszystko się wyjaśni i powoli wróci do dawnego stanu. To znaczy, relacje z jej dawnymi znajomymi, przyjęcia wtorkowe, a przede wszystkim wizyty miłego Peterfi, odnowią się. Nie wyznając tego sobie samemu, pocieszyłem się jednak szybko, że znów jakieś zwątpienie krążyło dokoła zaginięcia Estery, i ten rodzaj obojętności był odpowiedzią, której kilka dni temu nie śmiałem sobie dać.

W sobotę po tem żalosem odkryciu, które miało tylko ten skutek, że podwoiło rozwścieczenie jednej i drugiej strony, ujrzałem hrabiego Peterfi z mego okna. Przeszedł, nie zapukawszy do drzwi Braunsztajnow, ale po chwili widziałem, jak wracał, pukał i wszedł. Była piąta po południu. W godzinę później (u starych Braunsztajnow jadano wieczorem o szóstej) wszyscy byli zebrani przy kolacji sobotniej. Lea wydawała się przybita. Na pewno hrabia nie powiedział jej przyjemnych rzeczy. Myślałem o tem podczas wygłoszenia błogosławieństwa nad winem. To przypuszczenie zostało nagle brutalnie potwierdzone, kiedy po jakiejś uwadze starej Fradeli (ta kobieta była poprostu idjotką), Lea, opanowana jakby szaleństwem, krzyknęła ku naszemu osłupieniu: „A więc tak, chcecie wiedzieć, co zawsze myślałam? Wierzę, że Estera Solymosi została zamordowana! Wierzę, że istnieją jeszcze Żydzi, zdolni popełnić ten głupi czyn! Nie podajecie żadnego dowodu, a oskarżenia przeciwko wam są ciężkie. Mówicie zawsze o nienawiści chrześcijan do Żydów, ale nigdy nie wspominać o waszej nienawiści, o nienawiści Żydów do chrześcijan“, i, wskazując na Fradelę: „To są ludzie, jak wy, którzy rozniecili te zajadłości!“ Mówiła jeszcze przez



chwilę z dzikiem uniesieniem, wprawiając nas w osłupienie; było to według mnie echo głosu Peterfięgo. Opuściła pokój i nigdy więcej nie ujrzałem Lei Braunsztajn.

Minęły już prawie trzy tygodnie od owego wybuchu. Lea Braunsztajn nie opuszczała swęgo pokoju. Jej teściowa twierdziła, że gniew nieba rozlał się na synową, to znów, że choroba jej jest zupełnie imaginacyjna. W każdym razie więcej już jej nie widziałem, a między pozostałymi Braunsztajnikami czułem się źle. Rozjątrzone gadulstwo peruki satynowej stało się nieznośne, kłopoty Mojżesza zajmowały mnie tyle, co dym z jego fajki, i nie odczułem nigdy najmniejszej sympatji dla męża Lei. Najlepiej będzie sobie pójść, przedłużyć dalej tę podróż żebraczą, która trwała już pięć lat. W domu Braunsztajnow uźebrałem coś, czego się nie znajduje na drodze. Nie dano mi tego i nikt mi tego nie da. Jeszcze jeden raz ciekawość Nieznanęgo, która nas tak często zmuszała do zmiany jeszybotów, popychała mnie naprzód. Nie ku Berlinowi, jak Józef Hirszman, czułem się pociągnięty. Nie interesowano się Berlinem w salonie Braunsztajnow. Lea wciąż mówiła o Paryżu, o modzie paryskiej, o romansach i manjerach

paryskich, o tem, co się zrobiło i co robiono w Paryżu. Temu miastu, które kilka miesięcy temu było dla mnie tylko słowem, pustym dźwiękiem, ona nadała kształty niewyraźne wprawdzie, ale wspaniałe, dość podobne do niej, do jej koloru włosów. Paryż wydawał mi się miejscem, do którego przeznaczenie mnie wołało, miejscem wszystkich moich pragnień.

Po raz pierwszy kupiłem sobie nowe ubranie u krawca. Pograżony w zmartwieniu, uczułem jednak zdziwienie z zadowolenia, jakie to wydarzenie mi dawało. Walizka, która zastąpiła małą sakwę, napełnioną pobożnymi rzeczami i moim ubiorem, sprawiła mi również wielką przyjemność. Posłałem ze służącą list do Lei Braunsztajn. Cóż jej napisałem? Nie przypominam sobie dokładnie. Ale widzę jeszcze siebie, jak piszę przy oknie obok słoneczników. Nie było już słoneczników, bo byliśmy w pełni zimy. Śnieg padał na ogród, a ja patrzyłem, jak spadał, albo raczej wcale nie patrzyłem. W tej atmosferze śnieżnej moje oczy próbowały dojrzeć, coby napisał Peterfi, gdyby był na moim miejscu. Choć miałem również dla Lei uczucie, które uważałem za miłość, jednak wyobraźnia moja krążyła niedługo i znajdowałem w mojej sakwie tylko gotowe zdania z „Pieśni

nad pieśniami“, a to doprawdy należało do innego wieku. Szukałem wspaniałych słów, a nie znajdowałem ich, ponieważ byłem mniej zajęty wyrażeniem moich uczuć, jakie miałem dla niej, niż wykazaniem mego żalu z powodu wyjazdu. Mój list pewnie wydał jej się mroźny. Mówiłem jej tylko o sobie i o przyczynach intelektualnych, które mnie zmuszają do opuszczenia Węgier. Peterfi byłby coś lepszego wymyślił... Czekałem dwa dni na odpowiedź, ale nie nadeszła żadna. Oświadczyłem więc Braunsztajnowi, że opuszczam Michkolsz i Węgry, ten kraj, w którym wyraźnie się widziało, że ludzie naszej rasy zawsze będą poddani podejrzeniom najbardziej hańbiącym; że udaję się do kraju, gdzie Żydzi nie upierają się już, by prowadzić życie odrębne, i gdzie chrześcijanie ze swej strony nie mają żadnych powodów, by ich trzymać w oddaleniu.

Słuchając mnie, Braunsztajn uśmiechał się i często widzę ten uśmiech we wspomnieniu. Poza tem nie próbował zniszczyć mych iluzyj, tylko swoim głosem nosowym, którego nie lubiłem pewnie tak samo, jak jego żona, powiedział mi kilka rzeczy rozumnych o trudnościach materialnych, jakie napotkam przed sobą, jakoby takie trudności mogły kiedyś zatrzymać młodzieńca,

który znał życie jeszybotu. Co zrobię, by żyć w Paryżu? Dokąd pójdę po przybyciu? Stawiając takie pytania, robił na mnie wrażenie rozumnego człowieka, który nagle was zapyta o coś dziecinnego. Czyż sam wiedziałem? Czyż mogłem mu to powiedzieć? Ale wiedziałem dobrze, że będę żył: więc poco się troszczyć? Od czasów Abrahama dokąd doszliśmy, Panie, gdyśmy się byli zatrzymali z powodu trudności, napotkanych po drodze? Włożyłem niedbale do kieszeni, jak rzecz najbardziej zbędną na świecie, kilka adresów, jakie mi dał.

Jego ojciec, stary Mojżesz, u którego instynkt wędrowniczy rasy i nasza ufność w nas samych zachowały się jeszcze, nie czynił mi żadnego zarzutu, kiedy go zawiadomiłem o moim wyjeździe. Nosilem moje nowe ubranie. Spojrzał na mnie wzrokiem ironicznym i rzekł: „To dobrze, mój chłopcze, noś twoje nowe ubranie w krajach obcych. Nie zniszczysz go więcej, niż tu“. Co zaś do strasznej Fradeli, to z pośród niezliczonych, kwaśnych wyrzutów i jęków, zapamiętałem tylko te słowa: „Do Paryża! On jedzie do Paryża! Kto mu tam zrobi jedzenia koszerne? Czyż jest jakaś bóżnica w Paryżu? Czy znajdzie w Paryżu

przynajmniej dziesięciu Żydów, by się modlić razem?”

Nigdy jeszcze nie jechałem koleją i przypuszczam, że mało jest dziś ludzi na świecie, dla których kupienie biletu byłoby emocją. Naraz, w rękach urzędnika znikł cały mój skarb, jaki zdążyłem zebrać w Michkolszy, i zostałem znów tak samo biedny, jak za starych czasów w piątki, na drogach żebraczych. Biedny? Ależ nie! Czyż się jest biednym z biletem kolejowym w ręku? Ten kawałek tektury w moim ręku był biletem loteryjnym, na który postawiłem swoje życie, i albo przegram, albo wygram. Ale byłem pewny wygranej! A jeżeli się trzyma w ręku taką pewność, to się łatwo jej nie pozbywa. Nie wydałem biletu z ręki, nawet kiedy konduktor chciał go przedziurawić.

Dokoła mnie wszystko zmieniało się z szybkością, do której nie przyzwyczyli mnie ani wózki, na których kiedyś jechałem, ani konie Reb Kolina. W moim przedziale podróżni zmieniali się bezustannie, i ta zmiana rzeczy i ludzi sprawiała mi głęboką przyjemność. Zdawało mi się, że pociąg stwarza za mną wielkie zapomnienie... Nigdy, zdaję sobie teraz sprawę z tego, nigdy nie byłem

bardziej Żydem, niż w owej chwili mego życia, kiedy myślałem, że opuszczam życie żydowskie. Chcę powiedzieć, że nigdy nie czułem się bardziej śmiały, bardziej nieprzewidujący, bardziej optymistą, nigdy nie miałem tyle zaufania do siebie i do innych...

Przez jedną chwilę tylko, w Paryżu, kiedy zostałem sam na peronie, po niespodziewanem przybyciu zapytałem siebie nagle, jak zwykły Braunsztajn: „Dokąd pójdę? Co zrobię?” Ale te pytania zostawia się szybko za sobą, jak dym lokomotywy. Było ładnie, mroźno i sucho. Chodziłem jakąś szeroką ulicą i przez dwie albo trzy godziny błąkałem się bez celu, niosąc w ręku walizkę, w której ubrania były mniej ciężkie, niż słowniki i gramatyki. Lecz w tym stanie radości, w jakim się znajdowałem, nawet słowniki nie ciążyły mi w ręku. Wydawało mi się godnem podziwu, że kobiety we włosach i mężczyźni w czapkach mówią biegle językiem, który w Michkolszy był przywilejem prefekta, Lei, Peterfięgo i wszystkich ludzi dystyngowanych. Szuran! Püspök! Homona! Jak to wszystko było dalekie! Tam ciągle jeszcze pod wzrokiem rabinów dyskutowano nad odwiecznym Talmudem. I poco, mój Boże, naco? Co to mogło intereso-

wać tych ludzi, którzy, jak morze, przepływali obok mnie? Co również obchodzi tych ludzi historia małej Estery, czy była, czy nie była w Tiszcy, i ten cały kraj, zależny od słów, które mogły wyjść z ust pięcioletniego dziecka!... Jakie to było obce tutaj!... A stara Braunsztajnowa, jak się zestarzała nagle jeszcze bardziej!... A Lea, co ona robiła, zamknięta w swoim pokoju, którego nigdy nie widziałem? W mej głowie wracały wspomnienia, wstrząśnięte co chwila jakimś nowym wrażeniem, które z kolei słabło, w miarę, jak znów wspomnienie albo jakieś słowo, jakiś szum stamtąd, rozbrzmiewał w mej pamięci.

Jak to można być głodnym tak pięknego poranku, kiedy się ma umysł zajęty tyłoma różnymi rzeczami? Około południa uczułem jednak głód i począłem przekładać coraz częściej walizkę z lewej ręki w prawą i z prawej w lewą. Byłem o tej porze na Bulwarach. Spostrzegłem jakąś restaurację, która wyglądała skromnie. Wielka kawiarnia w Michkolszy, do której raz wszedłem, była bardziej krzykliwa. To była „Maison Dorée“<sup>1</sup> i Kelner podszedł i zapytał się, czy chcę takie lub inne danie, a ja, żeby uprościć rzecz, odpowia-

---

<sup>1</sup> „Złoty Dom“ — nazwa restauracji. (Przyp. tłum.).

dałem na wszystko *oui*<sup>1</sup>. Wziąłem również wino. Mówiono mi, że we Francji wyrabia się dużo wina i że niedrogo kosztuje. Jadłem. Jedzenie było dobre. Wypróżniłem butelkę. Wino było również dobre. Następnie podano mi rachunek.

Jeden, jeden i dziewięćdziesiąt. „Och,— rzekłem sobie,— blisko dwa franki! To szaleństwo wydać tyle naraz!“ Wyjąłem z kieszeni pięć franków i dałem je kelnerowi. Spojrzał na mnie zdziwiony, a ja również na niego patrzałem. „Dziewiętnaście franków“,— odezwał się wreszcie. Stałem się taki blady i tak smutny! Posiadałem tylko osiemnaście... Położyłem na stół pozostałe trzynaście franków obok tych pięciu, obok jakiejś kropli wina, która, niestety, nie była monetą złotą. Kelner wciąż patrzył na mnie, a ja nie śmiałem podnieść oczu na niego. Czulem, że ma straszny wyraz twarzy. Kiedy wreszcie ośmieliłem się spojrzeć, zapytał: „Pan jest obcokrajowcem?“ Odpowiedziałem: tak, głosem zduszonym. „A skąd pan przybywa?“ — „Z Węgier“, — wyksztusiłem. Zaczął naraz po niemiecku: „Ja jestem wiedeńczykiem. Poco pan przyjechał do Paryża?“ Jak tu wyjaśnić temu człowiekowi, że przybyłem

---

<sup>1</sup> Tak.



do Paryża, ażeby wtajemniczyć się w arkana cywilizacji? Widzę go jeszcze i słyszę jego głos. Zdaje mi się, że mógłbym narysować tę scenę: nakrycia na stole, mój skarb rozłożony i kroplę wina, którą wylałem. „Przyjechałem nauczyć się francuskiego“, — odpowiedziałem nareszcie. — „Potrzebujesz go się nauczyć“ — rzekł, zaczynając nagle mówić mi „ty“, jakby nasze biedne warunki zbliżyły nas do siebie. „Nie masz więcej pieniędzy?“ — dodał. Zrobiłem znak głową, że nie. Włożył pięć franków do swojej kieszeni i oddał mi resztę, mówiąc: „Weź te pieniądze, oddasz mi je, jeżeli staniesz się kiedyś bogaty. Nazywam się Alfred“. Niestety, potrzeba mi było dużo czasu, by mieć czternaście franków, które nie były mi konieczne! Kiedy już posiadałem tę sumę, wróciłem do „Maison Dorée“ z dumą człowieka, który dorobił się majątku. Lecz kelnera Alfreda już tam nie było.

Kiedy znów znalazłem się na ulicy, wypite wino i poczucie niebezpieczeństwa, jakiego uniknąłem, wprawiły mnie natychmiast w ten sam stan szczęścia, co rano. Nigdy młodzieniec nie był bardziej dzieckiem, nigdy nie czułem się więcej zmieszany z powietrzem, jak tego dnia. Chodziłem do czwartej po południu. Dokąd? Nie

wiem. Z ulicy w ulicę, z ogrodu do ogrodu... Ale o czwartej zapadła już noc. Zapalono latarnie. Mgła zakryła wszystko. Coś w rodzaju smutku wślizgnęło się pod moje palto. Przechodziłem przez jakiś most. Mgła zamieniła się w deszcz. W samym środku mostu zauważyłem na brzegu chodnika mały i niski domek, którego drzwi były szeroko otwarte. Zauważyłem, że ktoś wchodził. Wszedłem również, na wszelki wypadek, ażeby schronić się przed deszczem. Wewnątrz, za szybami, leżały wyciągnięte na niskiej platformie cztery trupy. Ciekawość i przestach przygwoździły mnie do miejsca. Zamyśliłem się nad tym obrazem i zapytałem osobę, która weszła przede mną, co to byli za ludzie. Z jego odpowiedzi zdawało mi się to rozumieć:

— To są obcokrajowcy. Umierają z głodu, albo ich zabijają w nocy. Zbiera się ich i przynosi tutaj.

Moja głowa wypróżniła się naraz ze wszystkiego, co mogła zawierać, i została tylko ta myśl: „Jutro ja również tu się znajdę, jutro będzie moja kolej“, i ja, Jakób Lipszyc, ujrzałem siebie, wyciągniętego za szybami, na niskiej platformie, tak wyraźnie, jak widziałem te cztery trupy przed sobą... Uciekłem. We mgle przeszedłem most

i biegłem wciąż, będąc już na dziedzińcu Notre-Dame'u. Tu również jakieś drzwi były otwarte. Wszedłem. W kościele, pod wysokim sklepieniem, tu i ówdzie paliły się lampy. Czułem się nareszcie bezpieczny. Postawiłem walizkę i usiadłem na krześle. Gdzieś w głębi odmawiano półgłosem modlitwę. Byłem zmarznięty i zasnąłem.

Nie spałem długo. Obudziła mnie jakaś ręka, która uderzała mnie po plecach. To był kościelny; robił swój przegląd przed zamknięciem drzwi. Znow znalazłem się na ulicy, przejęty chłodem, ogłupiały zmęczeniem podróży i dwóch nieprzespanych nocy, całodziennem chodzeniem i krótkim snem, nagle przerwany. Szedłem przed siebie, podobny, myślę, do tych, co chodzą w nocy na brzegu dachów. Nagle, o cudzie! Coś niewymownie bardziej miłego od tych wszystkich słów, któremi zachwycałem się rano, coś ciepłego wyłoniło się z deszczu... Jak tu znaleźć słowa, by to określić? Czyż to była halucynacja, skutek zmęczenia i zimna? Zdawało mi się, że usłyszałem słowo starego języka, tego języka, który pierwszy uderzył moje ucho, kiedy przyszedłem na świat, którym mówiono u mego ojca, stary język żydowski, drogi „jidysz“ pradziadów!... Szukałem dokoła, skąd mogło pocho-

dzić to słowo. Nie zauważyłem nikogo, tylko mały sklepik, słabo oświetlony we mgle. Znów ciepły prąd nagle rozgrzał mi plecy i życie wróciło do serca. Zdawało się, że ręka Pana Świata specjalnie dla mnie napisała na tych zabłoconych drzwiach, w świętym języku, którego litery są podobne do spadających łez, te słowa hebrajskie: „Kuchnia koszerna“.

Popycham drzwi. Co za zachwyty! Stare, drogie i znane zapachy wchodzą mi nosem aż do duszy. A moje oczy, moje oczy, co widzą? Kozuchy, kapelusze okrągłe, czapki futrzane! Stary chałat, który zrzuciłem, był tu na wszystkich plecach. Plecy, również znane mi dobrze, zgarbione i bardzo nędzne. Plecy starego Mojżesza, plecy mego ojca, wuja Zalmego, plecy wszystkich starych rabinów, wszystkich starych jeszybotów, plecy wreszcie mego całego narodu. A właścicielka restauracyjki! W swej sukni czarnej, ze swemi grubemi palcami i bladą cerą, do złudzenia była podobna do peruki satynowej, aż chciałem ją ucałować. Żydzi! Żydzi! Byłem uratowany!

Było ich sześciu, czy siedmiu na tym kawałku Polski, zagubionej w głębi dzielnicy Świętego Antoniego. Sześciu, czy siedmiu biedaków, których sam stary Braunsztajn uważałby za Żydów nie-

okrzęsanych. Jak tylko dowiedzieli się, że dopiero rano przybyłem wprost z Węgier, przyjęli mnie, moją walizkę, mój kapelusz, ociekający wodą, moją minę topielca, jak się przyjmuje tam, u nas, te typy, dobrze znane Izraelowi, żebraków z Jerozolimy, którzy z miasteczka do miasteczka roznoszą nowiny z świętego miasta Sjonu. Nie przybyłem z Jerozolimy, ale przyjechałem z kraju, w którym działo się coś, co ich zachwycało tak samo, jak Żydów z Michkolszu. Jak w naszych małych bóżni-  
cach, po ukończeniu nabożeństwa, otoczyli mnie, wszyscy mówiąc naraz i nagłąc mnie pytaniami. Estera Solymosi, Szarf i jego okrutne dzieci, młoda dziewczyna, wyłowiona kilka tygodni temu z rzeki, wszystko to było im również znane, jak mnie. Nie miałem im nic nowego do powiedzenia, ale sam fakt, że przybywam stamtąd, nadawał najmniejszemu memu słowu charakter prawdy, akcent, który wszystkim naraz wrywał okrzyki zgrozy, i wszyscy razem przeklinali policję i matkę Estery, wołali o pomstę do nieba i błagali Wiekuistego, by zesłał swoje światło do mroków Tiszy-Eszlar. Oto więc przebyłem setki kilometrów, by szukać w Paryżu, sam nie wiem, czego, ale czegoś nowego, i by końcem tej podróży była kuchnia żydowska, gdzie deszcz uderzał

o szyby, gdzie ludzie, podobni do tych, od których uciekłem, dopytywali się namiętnie o rzeczy, które, z chwilą, gdy wsiałem do pociągu, jak mi się zdawało zostawiłem za sobą na zawsze.

— Ten chłopiec jest może głodny? — powiedziała kobieta, podobna, jak dwie krople wody, do peruki satynowej.

Nigdy prawdziwa peruka, nigdy „pociecha moja“ nie wymówiła jeszcze w swoim życiu słowa tak rozumnego! Tyle wzruszeń podkopało mnie. Obiad za dziewiętnaście franków zagubił się we wspomnieniu dnia, który wydłużał się za mną w sposób niewymierny. Rzuciłem się na talerz z zuchwałością, któraby zawstydziła rabina z Homony. Groch wybierany, ryba zimna: myślałem, że jem u mojej matki! To wszystko było lepsze od wszystkich rzeczy, niewątpliwie wspinających, jakie tego rana podawał mi szlachetny Alfred w „Maison Dorée“.

Powoli kuchnia opróżniała się. Chałaty, stare marynarki wyszły na deszcz. Ale ja nie śpieszyłem się, by opuścić to ciepłe miejsce. Ostatni klient przysiadł się do mojego stołu ze swoim kieliszkiem wódki. Oba łokcie oparłszy o marmur, podnosząc od czasu do czasu kieliszek do warg, prawie niewidzialnych w brodzie, zaczął mówić

z miną poufałą człowieka, który chce zrobić interes:

— Mój drogi, coście przyszli tu robić? Czyście przyjechali do Paryża, by zwać do Ameryki, albo na studja?... Na studja! Więc musicie się udać do dyrektora seminarjum... Zaprowadzę was do niego. Znacie dobrze hebrajski? Doskonale! Widzę, że jesteście uczony. Rabin, to dobra posada... Jakto, nie chcecie więcej studjować naszych świętych ksiąg? Ach, odgaduję, jesteście jednym z naszych Epikurejczyków! To niema żadnego znaczenia. Nie chodzi o wiarę, ale o wiedzę!... Dobrze, dobrze, zostawmy to. Nie idźcie do seminarjum. Ale w każdym razie musicie żyć. Musicie znaleźć pieniądze... Komitet dobroczynności? Ach, nie mówcie mi o tem! Co za złodzieje! Nie pozwalają wam nawet opowiedzieć waszej historii. Jeżeli zostajecie dłużej, niż piętnaście minut, to was odźwierny wyrzuca. Rotszyld dał im miljony i miljony, ażeby je rozdzielili między nas. Ale Rotszyld: śmieją się z niego i nigdy wam nic nie dają... Jak chcecie, ażeby się płakało przed urzędnikami, którzy skradli setki milionów? Na nieszczęście, trzeba się zwrócić do tych bandytów. Jeżeli im mówicie, że chcecie wyjechać do Ameryki, to dadzą wam bilet, szczęśliwi, że wyjeź-

dzacie. Sprzedajcie więc, ten bilet. Zawsze to zarobek. Przyniesiecie mi go, a ja już zrobię interes... A teraz mogę wam dać kilka szczegółowych adresów. Z dokładnością do jednego centyma mogę wam powiedzieć sumę, jaką każdy Żyd w Paryżu wam da. Jakto, nie chcecie więcej zebrać? A jednak, mój drogi, każdy musi żyć...

Umilkł na chwilę, podniósł kieliszek do warg, i nagle poddał mi nową myśl:

— Mam dla was interes. Poślę was do jednego z moich bliskich przyjaciół, który was wybawi z kłopotów. To jest człowiek nadzwyczaj usłużny. On wam da na kredyt cały magazyn kolportera: szelki, sznurówki, łańcuszki do zegarów, portfele i t. p. Będziecie sprzedawać w kawiarniach i restauracjach. Wolf żąda pięćdziesiąt procent, reszta należy do was.

Słuchałem go. Czyż powróciłem do małej kawiarni w Karpatach, gdzie mekler cieląt rządził losem bocherów? Słuchałem go i głowa kołysała mi się ze zmęczenia. Oczy mi się otwierały i zamykały. Słowa, które zdawały się nie należeć do nikogo, mieszały się z szumem deszczu, który wciąż uderzał o szyby. Słuchałem go. Już go więcej nie słuchałem...

Czyż możliwe, żeby ta noc była podobna do



innych, ani krótsza, ani dłuższa? Ta noc, podczas której ze wspomnienia, jak sądziłem, rodziła się moja przyszłość... W rzeczywistości, była to noc znużenia biednego, małego, zbitego zmęczeniem Żyda, który zasnął z głową na rękach, na marmurze stołu. A jednak, dziś tak dobrze widzę to, czego nie spostrzegłem owej nocy! Widzę całe drzewo mego życia, wyłaniające się z głębi mroków! Czem było to drzewo? Jakie owoce wydało? Opiszę to może kiedyś. Lecz budząc się nazajutrz w tej małej kuchni, dokąd deszcz i przestrasz zagnały mnie wczoraj, nie widziałem ani drzewa, ani myśli, ani nawet wspomnienia jakiejś myśli. Otumaniony jeszcze snem, szukałem obok siebie sąsiada siennika; zastanawiałem się, gdzie jestem, u jakiej gospodyni, w jakim jeszybocie, w jakim Szuranie, albo w jakim Püspök? Przypomniałem sobie! Paryż! Wytworzyła się nagle w tej kuchni, albo raczej w mojej głowie, olbrzymia, czarna otchłań. Jak długo to trwało! Byłem jeszcze w tej nicości, gdy drzwi się otworzyły i próżnia zapełniła się osobą, która odradzała dla mnie świat: to był fałszywy mekler cieląt! Przyniósł mi w skrzynce dwadzieścia sposobów robienia majątku w Paryżu, to znaczy dwadzieścia różnych rzeczy: szelki, sznu-

rówki, pocztówki, plany Paryża, łańcuszki do zegarków ze stali i całą plikę rzeczy niepotrzebnych, których, zdawało się, nikt nie ma chęci kupować, a które jednak się sprzedawało, jakby Opatrzność zajmowała się nasyłaniem specjalnych amatorów na naszą drogę. Począwszy od tej chwili Paryż przestał być dla mnie czarną otchłanią. Nie był również czemś nieokreślonym i błyszczącym, jak wahadło pod kulą, o czym mówiono w salonie Braunsztajnow. Paryż, była to skrzynka, napełniona przedmiotami śmiesznymi, to były sznurówki, szelki i te łańcuszki do zegarków, to był tłum nieznanomych, których miałem odkrywać w innym tłumie nieznanomych, by ich zaopatrzyć w mój bagaż.

Fałszywa peruka satynowa przyniosła mi kawę z mlekiem. Fałszywy mekler cieląt dawał mi ostatnie rady. Ze skrzynką, zawieszoną sznurkiem na szyi, wyszedłem na ulicę z tą samą uciechą, z jaką ongiś wchodziłem do salonu Lei. Nie było ciepło i, jak na czole Wiekuistego, tak mgła, niby życzenie, kładła swój szron na mojem czole. Chodząc po trotuarze (nasze palce nie zostają nigdy w spoczynku), pociągałem gumę jakichś szelek. Wszystko wydało mi się giętkie, sprężyste i rozciągliwe na moje życzenie. Pierwszą rzecz,

jaką sprzedałem, był plan Paryża, tego Paryża, w którym znałem tylko jakąś biedną kuchnię, pływającą, jak arka Noego, po szerokiej, niezna-nej przyszłości... Ten poranek zimowy kończy moje pierwsze życie i mogę powiedzieć że i moje drugie, bo dziś, kiedy o tem myślę, wydaje mi się, że je przeżyłem na innej planecie.

KONIEC



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73  
Tel. 26-62-63













F

22.509